

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XI

Warszawa, 10 lipca 1955 r.



CIV 9013

Nr 27 (501)

ZYGMUNT LICHNIAK

KILKA SŁÓW O ZASADZIE WIELOŚWIATOPOGŁĄDOWOŚCI

(wypowiedź na XVI sesji Rady Kultury i Sztuki)

REFERAT prof. Żółkiewskiego wygłoszony w pierwszym dniu obrad XVI sesji Rady Kultury i Sztuki stwarza okazję do podjęcia dyskusji nad wieloma istotnymi problemami naszego życia kulturalnego. Z okazji tej skorzystać należy tym bardziej, że podstawowa sugestia referatu — głęboko słuszna i wiele błędów naprawiająca w dotychczasowych dyskusjach — stwarza pewne gwarancje, a w każdym razie daje pewne nadzieje, że rozmawiać możemy i dyskutować będziemy mądrzej i o wszystkie twórcze doświadczenia minionego dziesięciolecia. Sugestia ta polega bowiem na wezwaniu do poszerzenia, pogłębienia widzenia problematyki ideowej naszego życia kulturalnego, polega na postulowaniu przywrócenia sensu wielkich podziałów na stare i nowe, na to, co hamuje procesy rozwojowe, i na to, co tym procesom służy. Bardzo dobrze się stało, że referent w przekonujący i — z właściwą sobie żarliwością — plastyczny sposób ukazał konieczność precyzyjniejszego intelektualnie, docieklawszego poznawczo, a jednocześnie wyrazistszego ideowo wartościowania zjawisk kulturalnych. Nie ulega bowiem wątpliwości, że jednym z poważniejszych braków atmosfery naszych dyskusji kulturalnych czy literackich był właśnie brak szerszych perspektyw intelektualnych, wnikliwszych diagnoz, brak zawiniony wąskością pojmowania zależności kultury i polityki, powierzchowności rozumienia sensu ideologicznej funkcji dzieła sztuki. Prowokowano burze w szklankach wody, jedno opowiadanie, jedna książeczka, jeden artykuł urastało do rozmiarów niemal sprawy kosmicznej, a w każdym razie autorzy każdego krytykowanego artykułu czuli się niemal w roli obrońców Dreyfusa, chociaż wszyscy razem wzięci nie posiadali tyle pasji, co — zapóźniony przecież wobec naszego czasu — autor „J'accuse”.

Mówmy szczerze: było duszno, ciasno, partularystycznie, żeby nie powiedzieć: zaściankowo. Trafnie zwraca na to uwagę Stefan Żółkiewski w swoim ostatnim artykule w „Nowych Drogach” (Nr 6/72 z czerwca 1955 r., str. 19) pisząc „O aktualnych dyskusjach literackich”. Trafnie też w swoim referacie postuluje szersze, głębsze traktowanie problemów kultury, przestrzegając jednocześnie przed ogólnikowością, a namawiając do precyzji i konkretności.

Chciałbym — przyklaskując gorąco tym wezwanom — wyjąć im jednocześnie naprzeciw z pozycji określonych moim światopoglądem i moją postawą ideowo-polityczną, z pozycji, które wraz z mną zajmują wielu katolików skupionych w polskim ruchu społecznie postępowym. Oczywiście w tym wyjęciu naprzeciw sugestiom referatu prof. Żółkiewskiego, z którego wieloma tezami się zgadzam i które uważam za tezy także moje i moich kolegów, muszą być zawarte wyraźne akcenty polemiczne. Te akcenty przede wszystkim wydobyciem dla ewentualnego wzbogacenia toczącej się dyskusji. Prosząc zarówno o to, aby potraktować je jako element współpracy nad coraz głębszym i pełniejszym rozumieniem problematyki ideowej naszego życia kulturalnego, oraz aby polemiczne akcenty mojego głosu w dyskusji nie przesłaniały zgodności naszych postaw wobec zadań określonych konkretną sytuacją historyczną.

Potrzebę polemicznego włączenia się do dyskusji wywołał we mnie ten fragment referatu prof. Żółkiewskiego, w którym — omawiając przykładowo różne zagadnienia związane z rudymenarnymi podziałami ideowymi w życiu kulturalnym — jako jedną z form ciągłego ścierania się starego z nowym wskazywał on także przeciwieństwo światopoglądu religijnego, jako przesądę i światopoglądu materialistycznego, jako nauki, sygnalizując jednocześnie potrzeby, wyrażając konieczność likwidowania tego, co jest przesądą religijną, co jest idealizmem, co — krótko mówiąc — stanowi przeciwieństwo materializmu

filozoficznego. Nie mam pod ręką stenogramu bardzo żywo mówionego referatu prof. Żółkiewskiego, ale myślę, że nie skrzywię liści jego w tym zakresie rozumowania, jeśli w skróconym przypomnieniu zrekonstruję je w ten sposób: jednym z przejawów zasadniczego podziału przebiegającego między tym, co stare i tym, co nowe, tym, co wsteczne, i tym, co postępowe, a więc między tym, co należy eliminować ze świadomości i kultury ludzkiej, a tym, co należy wspierać i rozwijać, jest przeciwstawność postawy religijnej, postawy przesądów religijnych, postawy idealizmu wobec jedynie realistycznej, jedynie obiektywnej, jedynie naukowej postawy materializmu filozoficznego. Tak streszczając w tym zakresie wywód prof. Żółkiewskiego chyba nie wprowadzam — prócz skrótowości — żadnych zmian deformujących jego myśl. Lojalnie trzeba dodać, że — o ile uważnie słuchałem — prof. Żółkiewski nie mówił konkretnie o katolicyzmie, ani też nie adresował swoich uwag z tego zakresu do katolików w Polsce Ludowej; nie będzie jednak chyba z mojej strony nadmierną domyslnością ani też objawem przesadnego wyczulenia, jeśli stwierdzę, że i sytuacja, i czas, i miejsce formułowania zrekonstruowanych przeze mnie wywodów każą jednoznacznie traktować je jako opis i ocenę obiektywizującą się — zdaniem referenta — w polskim życiu kulturalnym funkcji światopoglądowej postawy religijnej, konkretnie: polskiego katolicyzmu.

To wyjaśnia ogólny motyw mojego polemicznego wkroczenia w dyskusję.

MUSZĘ jednak przed rozwinięciem swoich uwag i propozycji dyskusyjnych pośpieszyć z wyjaśnieniem wstępnym, które wykluczyć powinno zarówno nieporozumienia, jak i pokusę łatwych dowcipów. Tam, gdzie prof. Żółkiewski postuluje walkę z zabobnem, z ciemnością, z przesadami i ciasnotą postawy religijnej — może liczyć na moją pomoc i pomoc moich kolegów; więcej: będę go uważał za twórczego sojusznika w walce, którą i ja — niepomiernie uboższy w możliwości — prowadzę na swoim odcinku. Tam, gdzie prof. Żółkiewski wzywa do walki z ciemnogrodem, z duchem zakrytym, z postawą idealistyczną wobec świata i spraw człowieka — również może liczyć na moją pomoc, żarliwość i ciągłe jeszcze nie dość wprawne pióro, więcej: musi przyjąć do wiadomości, że jest dla nas, katolików, obiektywnym sojusznikiem w realizowaniu dalekosyżnych, wewnątrzkatolickich dążeń. Zabobon, ciemnota, przesady, duch ciemnogrodu i duch zakrytym — to także nieprzyjaciele, to także siły przeciwnie współcześnie pojętemu katolicyzmowi. Idealizm, jako postawa poznawcza lekceważąca obiektywne prawa rządzące rzeczywistością, jako megalomańska teoria patrząca koso na mądrość materializmu historycznego, to także przeciwnik współcześnie pojętego katolicyzmu, tym groźniejszy, że występujący pod firmą sojusznika, tym niebezpieczniejszy, że wobec jego filozoficznych — pożałuj Boże — darów za mało jeszcze katolików umie powiedzieć: *Timeo Danaos et dona ferentes*.

Te wyjaśnienia wstępne chcą wykluczyć z dyskusji sugestie, jakoby — występując polemicznie wobec jednego z twierdzeń prof. Żółkiewskiego — występował także przeciwko temu, co w tym twierdzeniu słuszne. A co słuszne — wskazałem. Jest jednak dla mnie sprawą oczywistą, że prof. Żółkiewskiemu chodziło nie tylko o wspieranie naszych, współcześnie katolickich aspiracji. Za tak dobrego katolika go nie uważam. Ale uważam go za głębokiego i ciekawego marksistę, od którego także nie marksści wiele się mogą nauczyć, i którego stać chyba na przynajmniej czasem, racji nie-marksistycznej, więc oceniam jego wystąpienie — w omawianym przeze mnie zakresie — jako postulat ideowej, pogię-

bionej intelektualnie polemiki filozoficznej z błędami, z fałszywymi konsekwencjami fałszywego — według referenta — światopoglądu religijnego, który — o czym chciałbym jeszcze raz przypomnieć — zgodnie z terminologią przyjętą we współczesnym języku filozofii katolickiej odrzuca od siebie miano idealizmu.

Z wezwaniem do takiej polemiki — chociaż z innych powodów niż prof. Żółkiewski — jestem całkowicie zgodny i ja, i chyba moi koledzy. Uważam jednak za konieczne zwrócić uwagę na trzy zasadnicze kwestie, które nie znalazły miejsca w referowanych przeze mnie przemysleniach prof. Żółkiewskiego, co przysileniem tym odebrało szansę pełnego zobiektywizowania sytuacji, a w konsekwencji skrzywiło ich przebieg, wywołując z mojej strony polemikę.

SPRAWA pierwsza polega na zubożeniu, a tym samym skrzywieniu przemysłów prof. Żółkiewskiego przez nieuwzględnianie ideologicznego sensu praktykowanej w obozie rewolucji socjalistycznej zasady wieloświatopoglądowości. To, że w tworzeniu budownictwa socjalistycznego, w tworzeniu nowej kultury socjalistycznej biorą aktywny i twórczy udział ludzie różnych światopoglądów, jest przecież nie tylko precedensem taktycznym, ale jest także zjawiskiem ideologicznym, domagającym się spostrzeżenia i uogólnienia. Ważne jest, że „sama wiara lub niewiara w Boga nie przesądza w niczym o wartości społecznej czynu człowieka, a decydujące jest przyjęcie jednej z tych pierwszych zasad i decydujące są konsekwencje, jakie się wyciągają z tego przyjęcia. Określając więc zasięg społecznego nowego typu sojusznika socjalizmu trzeba stwierdzić, że składają się nań zarówno ludzie, którzy interpretują funkcję społeczną swojej religii jako nakazującą im pełny bezkompromisowy udział w walce o socjalistyczną społeczno - gospodarczą przyszłość świata, jak i ludzie podchodzący do tego samego nakazu z przeświadczeniem, że nie postawa ateistyczna czy religijna sama przez się jest postawą lub wsteczną, tylko jej filozoficzna i społeczna interpretacja. Nowość tego typu sojuszników socjalizmu polega na tym, że rozbieżność swojej postawy z niektórymi zasadami marksizmu - leninizmu traktują jako sprawę wewnętrzną rosnącego socjalistycznego świata i widzą zarówno teoretycznie jak i praktycznie bezwzględne społeczne zadania przyczynienia się do zwycięstwa socjalizmu budowanego przez partię klasy robotniczej”. (Bolesław Piasecki: „Ideologiczna dynamika wydarzeń międzynarodowych” Dziś i Jutro, nr 26/500 z dn. 3.VII.55).

Takie widzenie sprawy jest nowe dla katolicyzmu i nowe dla marksizmu. Jest zjawiskiem, które musi w kategoriach ideologicznych — a nie tylko taktycznych — rozwinąć także zarówno katolicyzm, jak i marksizm. Postępująca ciągle naprzód zmiana społecznej funkcji katolicyzmu, bo w tych kategoriach przede wszystkim interesuje się katolicyzmem rozsądny marksista, musi powodować ideologiczną zmianę wartościowania tych zjawisk. Zagadnienie to nabiera większej wyrazistości, gdy — zgodnie z wezwaniem prof. Żółkiewskiego — poszerzymy perspektywę widzenia decydujących się w świecie przemian, toczącej się ciągle walki nowego ze starym. Świat, to nie tylko Polska. To także Europa zachodnia i Azja, to obydwie Ameryki. Ekspansja nowego dzieła się będzie i dzieje się już w zróżnicowanych światopoglądowo społeczeństwach i

kulturach. Nie tylko taktycznym, ale ideologicznym problemem jest stworzenie nowych wartości socjalistycznych przez biorących udział w budownictwie socjalistycznym ludzi różnych światopoglądów. Dlatego precedens Polski musi być traktowany nie tylko w kategoriach przejściowych konstelacji sił, lecz w kategoriach ideologicznego uzasadnienia dla wieloświatopoglądowej struktury obozu postępu. U nas za mało o tym się mówi, ale przede wszystkim za mało się myśli. Zubożała to sposób zrozumienia postawy współczesnego, dopracowującego się swoich precyzji społecznych katolicyzmu. Zubożała to tym samym nasze życie kulturalne, nasze życie intelektualne, nasze dyskusje filozoficzne. Dlatego pod adresem prof. Żółkiewskiego, a poprzez niego do wszystkich, którym troska o możliwości szerokie i głębokie widzenie walki starego z nowym jest troską bliską nie tylko sercu, ale i zobowiązującą umysł, przekazuję polemiczne propozycje naprawienia tego błędu, który dla ułatwienia dyskusji nazywam skrótem błądem przeoczenia ideologicznych zobowiązań realizowanej praktycznie zasady wieloświatopoglądowości obozu socjalizmu.

Druga sprawa, to — skrótkowo ją nazywając — sprawa przestarzałej wiedzy marksistowskiej o katolicyzmie współczesnym, o współczesnych procesach rozwojowych, osiągnięciach i intelektualnych precyzjach filozofii katolickiej. Bardzo to dziwne, że właśnie ja muszę tu przypominać znane przecież wszystkim prawo o ciągłym rozwoju, ciągłej przemianie wszystkiego, co istnieje, o tym, że najbardziej typowe jest nie to, co statystycznie przeważa, ale to, co jest na liniach dynamicznego rozwoju. W swoich ocenach filozofii katolickiej, niestety, ci, którzy powinni to prawo mieć zawsze na uwadze, zapominają o nim bardzo skrulatnie. Krótko mówiąc: jeśli ma być mowa o jakiegokolwiek twórczej intelektualnej polemice czy dyskusji, ożywiającej ambicjami filozoficznymi, trzeba, aby polemicy przestali opierać sądami sprzed dobrych kilkunastu lub nawet kilkudziesięciu lat. Tu więcej mam — niejako wbrew swojej zasadzie — do przyznanienia marksistom niż katolikom. Znam wielu katolików, którzy — jak to się mówi — poduczyli się marksizmu. Znam nawet takich, którzy niejednemu, zwłaszcza młodemu i czupurnego dyskutanta, pokrzykującemu o swojej rewolucyjności, przewyższają gruntowną wiedzą o teorii rewolucyjnej czy ekonomice socjalistycznej. Z trudem natomiast znaleźlibyśmy nawet światłego marksistę, który byłby wprowadzony w najnowsze procesy w filozofii katolickiej. Żartobliwym projektem byłoby zgłoszenie na ręce ministra Włodzimierza Sokorskiego wniosku o dokształcające kursy katolickie. Wiem, że wielu powinno ukończyć przedtem kursy wiedzy o marksizmie. Decyduje tu hierarchia potrzeb. Ale już nic żartobliwości nie ma wysuwanie postulatów, by niekatolicy uwspółcześnili swą wiedzę o katolicyzmie. W przeciwnym wypadku walczą się z cieniem, operują się odwiecznymi zarzutami inkwizycji, indeksu, palenia czarownic na stosach, a w najlepszym wypadku z tomizmem i augustynizmem, ale w interpretacjach sprzed pół wieku. Jeśli polemika ma mieć istotny sens twórczy, niech będzie polemiką uczciwą, lojalną, godzącą w najmocniejsze strony dyskutanta, a nie w słabości dawno ujawnione i dawno samokrytycznie ocenione. Zamiast polemizować z ks. Baką, mądrzej polemizować z ks. Klóskiem. Zamiast cytować „Nowe A-

teny” Chmielowskiego, mądrzej przeczytać „Tomizm” Gilsona. Zamiast triumfalnie rozkładać na obydwie łopatki dawno już skrytykowane i przez nas encykliki społeczne „*Reverum novarum*” czy „*Quadragesimo anno*”, mądrzej podjąć merytoryczną analizę „Początków katolicyzmu społecznego we Francji” Duroselle’a czy „Zagadnień istotnych” Pia-seckiego. Jeśli bić, to bić argumentami nie w cienie ks. Pirożyńskiego, ale na przykład w pracę ks. Żywczyńskiego „*Kościół a rewolucja francuska*”. Dopiero wtedy polemika jest polemiką rzetelną, dopiero wtedy jest wymianą myśli dla obu stron korzystną, a nie walką z własnymi, niedopracowanymi i po prostu pachnącymi nieuczestwem wyobrażeniami o współczesnej filozofii katolickiej. Dlatego wnoszę do dyskusji polemiczną propozycję, która sprowadza się do — zgodnego z sugestiami referatu prof. Żółkiewskiego — postulatu pogłębienia dyskursu filozoficznego, który nurtuje podskornie nasze życie kulturalne, a nie ujawniony lub — co gorsza — zamieniany w powierzchowną połażankę sypcza sens wielu zjawisk kulturalnych i wielu ocen wartościujących zjawiska kulturalne.

Trzecia sprawa, którą chcę polemicznie zaszykalizować, to sprawa — skrótkowo ją określam — zdawkowości polemik filozoficznych. Precyzując swoje racje intelektualne katolicy myśliciele przedstawili w powojennym dziesięcioleciu kilka czy kilkanaście propozycji filozoficznych. Najczęściej stosowaną wobec nich formą filozoficznej repliki jest unik intelektualny lub dyskwalifikatorskie odfajkowywanie. Zważywszy, że życie intelektualne w Polsce domaga się raczej intensyfikacji niż pacyfikacji, że dialog światopoglądowy raczej służy niż utrudnia twórcze realizowanie koniecznej w naszym życiu zasady wieloświatopoglądowości — ta praktyka żenującej nikłości i nijakości polemik filozoficznych stanowi groźne memento. Zastosowano unik intelektualny wobec wielu zjawisk, których intelektualna prowokacyjność i nowość nie usprawiedliwiała milczenia oponentów (myślę tu na przykład o artykułach ks. Klóśka czy przedmowie do „Zagadnień istotnych”). Tam, gdzie — w rzadkich wypadkach — zrezygnowano z metody uniku, zadowolono się niemal kwitowaniem swojego sprzeciwu. I to nie w jakichś tam pismach, ale w poważnych pismach. W pismach o zobowiązujących nazwach jak: „*Myśl Filozoficzna*” czy „*Pamiętnik Literacki*”. Nie spełnia zadań gruntownej polemiki ani artykuł Legowicza o paxowskim wydaniu dialogów św. Augustyna (por. *Myśl Filozoficzna*, nr 3/13 z r. 1954, str. 168—202), ani artykuł Kołakowskiego o realizmie tomistycznym (por. *Myśl Filozoficzna*, nr 1/11, z r. 1954, str. 188—227), ani — tym bardziej — artykuł Nowickiego o paxowskim wydaniu „*Nowej Atlantydy*” Bacona, „*Utopii*” Morusa czy „*Państwa Słońca*” Campanelli. Dla ukonkretnienia swoich polemicznych pretencji posłużę się przez chwilę przykładem, którego ostrze obraca się także przeciwko prof. Żółkiewskiemu. Oto prof. Stefania Skwarczyńska wydała dwa tomy zamierzonego trzytomowo „*Wstępu do nauki o literaturze*”. Nie czas tu i nie miejsce na ocenę tej pozycji. Myślę, że uznając wiele jej wartości można z nią polemizować. Polemizować na płaszczyźnie różnic, które na pewno swymi korzeniami sięgają płaszczyzny odrębności światopoglądowych. Prof. Żółkiewski załatwił sprawę w petitowym przypisku (por. *Pamiętnik Literacki*, rocznik

XLV, zeszyt IV). A więc znowu jedna propozycja dyskusji, dyskusji na pewno wzbogacającej, na pewno przydatnej — poszła bokiem, żeby nie powiedzieć: wyszła bokiem. Warto z tych przykładów wysnuć wniosek ogólny: jeśli nie ma w Polsce Ludowej mądrej, twórczej, pożytecznie funkcjonującej w życiu kulturalnym, bo wzbogacającej życie intelektualne, filozoficznej dyskusji interświatopoglądowej, to wi-na spoczywa przede wszystkim na barkach tych, którzy istniejących szans nie podjęli i nie podejmują wólc stosować metodę uniku lub epitetu. U mnie ambitnych publicystów prowadzi to do tak próciutkich rozwiązań, jakie na przykład zamodestrował kronikarz prasowy w ostatnim numerze „*Przeglądu Kulturalnego*” (Nr 26, 30.VI — 6.VII.1955 r.)

SUMUJĄC swoje dotychczasowe uwagi muszę dla uniknięcia nieporozumienia jeszcze raz podkreślić, że polemiczna nuta mojej wypowiedzi wobec postulatów polemiki światopoglądowej zawartej *implicite* w omawianym przeze mnie fragmencie referatu prof. Żółkiewskiego wynika z mojego najgłębszego przekonania, za którym stoi obiektywna wymowa faktów społecznych tworzonych przez historię socjalistycznego przełomu, że współtworząc nowy ład życia, współdziałając w adosonalaniu i wzbogacaniu tego życia oraz wyrażając je i służąc mu kultury, musimy w twórczej wymianie myśli doskonalić swęce władze poznawcze, doskonaląc swoją postawę intelektualną, precyzować swoje filozoficzne przekonania, by trzebić z nich błędy, mętniać i fałsz. W oparciu o głęboką wiarę, że tak pojmowana zasada wieloświatopoglądowości zdaje swój historyczny egzamin, pozwolilem sobie na oświetlenie jej kilkoma uwagami polemicznymi.

To nie są uwagi, które mają lub raczej chcą mieć określoną funkcję tylko w zakresie dyskusji między filozofami, do których zresztą nigdy nie miałbym odwagi zbyt śmiało się wtrącać. Słusznie zwracano uwagę i słusznie mocno to wyakcentował w swoim referacie prof. Żółkiewski, że związek filozofii z kulturą są tak samo żywotne jak związek kultury z polityką. W każdym razie na pewno nie ulega dla nikogo wątpliwości, że zjawiska kulturalne, dzieła sztuki, utwory literackie są bardzo unerwione filozoficznie. Dlatego procesy zachodzące na płaszczyźnie dyskusji filozoficznych znajdują swoje odbicie i w kategoriach działania artystycznych, które jest przecież też formą poznawania i oceniania świata.

Ta zależność znajduje swoje odbicie także na odcinku zarejestrowanych przeze mnie polemicznie zjawisk. Literatura, a jeszcze konkretniej krytyka literacka powtarza błąd filozoficznego spłylenia problematyki wieloświatopoglądowości, filozoficznego spłylenia dyskusji z katolicką koncepcją świata i człowieka. Sądzę, że wolno mi — korzystając z tego, że już udzielono mi głosu — poświęcić i tej kwestii kilka słów, prosząc zainteresowanych, a zwłaszcza niezainteresowanych o chwilę cierpliwości.

Przeszło rok temu, w tej samej sali, korzystając z prawa głosu na VI Zjeździe Związków Literatów Polskich grzmiałem gromkimi wezwaniami do przełamania znowu milczenia wokół twórczości katolickiej w Polsce Ludowej. Dobrze zrozumiano moje intencje, słusznie interpretowano polityczny i ideologiczny sens formułowanych przeze mnie wniosków i obiecano postawę tzw. wyciągniętej ręki.

(Dokończenie na str. 7)

Dm 19/10/52

CIEN WEHRMACHTU

UKŁADY paryskie z 1954 r. zamieniają pewien etap militaryzacji Niemieckiej Republiki Związkowej. Być może nie jest przesadą określenie tego etapu, jako totalnej remilitaryzacji Niemiec zachodnich. Uzasadnienie tego określenia wynika z procesu poprzedzającego układu paryskie z 1954 r.

Analizując problematykę Niemiec zachodnich z punktu widzenia przygotowań remilitaryzacyjnych należy podkreślić, że umowy mocarstw zachodnich związane z militaryzacją Niemiec zachodnich datują się od 1946 roku. Liczną grupę tych umów z lat 1946—1950 można ogólnie biorąc podzielić na dwa zespoły. Pierwszy zespół — są to umowy przygotowujące utworzenie Niemieckiej Republiki Związkowej, a więc przygotowujące dokonanie i utrwalenie podziału Niemiec. Drugi zespół — to umowy poświęcone gospodarce zachodnio-niemieckiej, regulujące poziom produkcji przemysłowej, określające udział Niemiec zachodnich w planie Marshalla, wreszcie przygotowujące odbudowę kuzni zbrojeniowej w Zagłębiu Ruhry. Gdy spojrzymy na rozwój sytuacji w Niemczech z punktu widzenia tych licznych umów między mocarstwami zachodnimi, to dojdziemy do uzasadnionego wniosku, że układy paryskie z 1954 r. powstały w oparciu o sukcesywnie przygotowywane i bardzo różnorodny pod względem treści zespół umów wiążących mocarstwa zachodnie. Dzięki temu upadek projektowanej Europejskiej Wspólnoty Obronnej mógł być zaraz „odrobiony” przez szybkie utworzenie neohitlerowskiej armii w innym wydaniu, a mianowicie w wydaniu układów paryskich z 1954 r. Nie ulega więc wątpliwości, że układy paryskie z 1954 r. stanowią tylko wariant zastępczy dla Europejskiej Wspólnoty Obronnej. Istota jest ta sama — jest nią planowa i staranna ofensywa imperialistycznej polityki mocarstw zachodnich w kierunku totalnej militaryzacji Niemieckiej Republiki Związkowej.

Pewną nowością układów paryskich z 1954 w tym zakresie jest sieć organizacyjna o charakterze międzynarodowym, powołana do czuwania nad stworzeniem dogodnych warunków dla remilitaryzacji Niemiec zachodnich. Sieć ta posiada szczytową organizację w postaci Unii Zachodnio Europejskiej — która jest po prostu zmienioną organizacją Paktu Brukselskiego. Trzeba od razu dodać, że gdy mówi się o organizacjach międzynarodowych w tym układzie, to chodzi rzecz jasna o zespół państw zachodnich, sprężonych wytycznymi polityki Stanów Zjednoczonych. Jest to więc organizacja międzynarodowa o charakterze jedностronnym, stanowiąca podstawę agresywnych bloków militarnych. Przy tym założeniu podstawowym jest rzeczą zrozumiałą, że tzw. Unia Zachodnio-Europejska powołując np. taki organ jak Urząd Kontroli Zbrojeń — tworzy jednostkę nie mającą nic wspólnego ani z organizacją międzynarodową, ani też z kontrolą zbrojeń zachodnio-niemieckich.

W zespole układów paryskich z 1954 roku na szczególną uwagę zasługuje tzw. protokół w sprawie sił zbrojnych Unii Zachodnio Europejskiej. Protokół ten wprowadza pewne ustalenia ilościowe, jeśli chodzi o siły zbrojne członków Paktu Brukselskiego. Te siły zbrojne są podzielone na trzy zespoły. Pierwszą grupę stanowią siły zbrojne, które nie znajdują się na kontynencie europejskim, a zatem są używane do obrony Wysp Brytyjskich lub posiadłości kolonialnych. Układy paryskie nie przewidują żadnych ograniczeń jeśli chodzi o tę grupę wojsk. Niemiecka Republika Związkowa nie będzie posiadała sił zbrojnych w tej kategorii. Druga grupa, to siły zbrojne oraz siły policyjne na kontynencie europejskim. W tej grupie mieści się intensywna rozbudowa armii

neohitlerowskiej, obejmuje ona bowiem oddziały wojskowe będące na ogół do wyłącznej dyspozycji zainteresowanego państwa i wyłączone z Organizacji Paktu Atlantycznego. Trzecia grupa — to siły zbrojne Unii Zachodnio Europejskiej, podporządkowane naczelnemu dowódcy sił zachodnio-europejskich, mianowanemu przez Organizację Paktu Atlantycznego (NATO). Przewidywany kontyngent zachodnio-niemiecki w tej grupie obejmuje 12 dywizji. Każda dywizja liczy około 15 tysięcy ludzi. Kontyngent niemiecki obejmuje siły lotnicze — około 1.350 samolotów z obsługą oraz siły morskie, których limit ustala się co roku.

Omawiany protokół reguluje również sprawę produkcji zbrojeniowej. W tym zakresie na szczególną uwagę zasługują produkcja rodzajów broni zwanych w skrócie ABC — a więc broni atomowej, bak-

teriologicznej i chemicznej. Według tego protokołu zakaz produkowania przez Niemiecką Republikę Związkową broni ABC może być zniesiony tylko w drodze zmiany protokołu w sprawie kontroli zbrojeń. Inne zakazy zbrojeniowe mogą być zniesione nawet na leczenie naczelnego dowódcy sił zbrojnych Paktu Atlantycznego. Trzeba jeszcze podkreślić, że powyższe zakazy nie obejmują badań prowadzonych nad kategorią broni ABC. Zakaz produkcji broni ABC nie równa się również zakazowi posiadania i używania tych rodzajów broni przez armię zachodnio-niemiecką. Inaczej mówiąc — neohitlerowska armia może ćwiczyć się w używaniu oraz stosować na wypadek wojny wszystkie rodzaje broni masowej zagłady. Pozostaje kwestia odpowiedzi na pytanie — kto może być dostawcą tych rodzajów broni dla neohitlerowskiej armii? Układy paryskie z

1954 r. udzielały wyraźnie odpowiedzi na to pytanie. Dostawcą broni ABC dla Niemieckiej Republiki Związkowej jest Organizacja Paktu Atlantycznego (NATO).

Warto tutaj podkreślić, że jest to jedno z najcięższych przekroczeń powszechnego prawa międzynarodowego, które znalazło swój wyraz w Protokole Genewskim z 17 czerwca 1925 r. o zakazie stosowania podczas wojny gazów duszących, trujących i innych, oraz środków bakteriologicznych. Protokół Genewski został podpisany lub przyłączyło się do niego 50 państw, w tym wszystkie państwa uczestniczące w Unii Zachodnio Europejskiej — nie wyłączając Niemiec. Ten akt prawa międzynarodowego odegrał wybitną rolę w zapobieganiu stosowaniu broni chemicznej i bakteriologicznej podczas drugiej wojny światowej. Nawet rząd hitlerowski, którego czołowi przedsta-

wiciele zostali skazani przez Trybunał Norymberski jako zbrodniarze wojenni, nie odważył się stosować broni chemicznej i bakteriologicznej. Państwa uczestniczące w układach paryskich z 1954 r. uznają za właściwe czynić przygotowania do wojny chemicznej i bakteriologicznej, gromadzić zapasy tych broni masowej zagłady oraz czynić przygotowania do ich wykorzystania dla celów wojennych.

Pozostaje do omówienia argument tzw. kontroli nad zbrojeniami Niemiec zachodnich. Argument ten zawiera dwa elementy. Pierwszy element — kto kontroluje? Trzeba tutaj stwierdzić, że system kontroli nad wykonaniem omawianego protokołu w sprawie zbrojeń stanowiącej część układów paryskich z 1954 r. stwarza organizację tak mechanicznie działającą, że w samym założeniu efektywność kontroli jest przekreślona. Zresztą

dysponentem kontroli w zakresie zbrojeń zachodnio-niemieckich są trzy mocarstwa zachodnie, które w komunikacie z dnia 19. IX. 1950 r. stwierdziły, że „odrodzenie niemieckiej armii narodowej nie służyłoby najlepiej interesom Niemiec lub Europy.” Te same mocarstwa cztery lata później powołują do życia armię neohitlerowską, włączając ją w system Paktu Atlantycznego i oddają do jej dyspozycji wszystkie rodzaje broni masowej zagłady. Czy w interesie takiego kontrolera leży szczerza i efektywna działalność w kierunku ograniczenia zbrojeń zachodnio-niemieckich? Drugi element — kto ma być kontrolowany? W oświadczeniu z dnia 29.V.1950 r. kanclerz Adenauer popierając projekt tzw. armii europejskiej odrzucił „remilitaryzację Niemiec poprzez stworzenie własnej narodowej siły wojskowej.” Stało się to na kilka dni po oświadczeniu tego samego kanclerza Adenauera, że Niemiecka Republika Związkowa nigdy nie przystąpi do Paktu Atlantycznego (NATO). Czy w interesie takiego kontrolowanego, który w dodatku dysponuje ogromnym doświadczeniem w lamach posłanów kontrolnych traktatu wersalskiego w zakresie zbrojeń, może leżeć szczerza poddanie się jakimkolwiek ograniczeniom i kontroli?

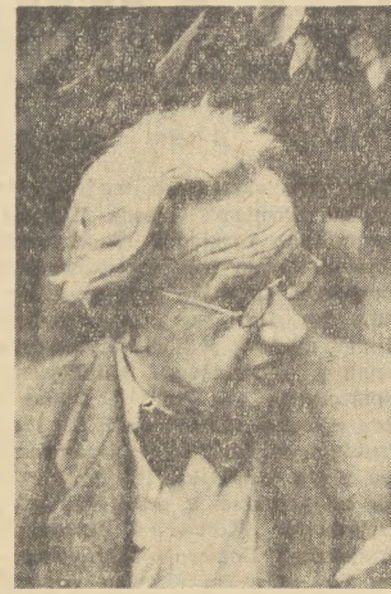
Jaki jest zatem wynik tego rodzaju postanowień kontrolnych?

Jak wynika z doniesień prasowych rząd Niemieckiej Republiki Związkowej przeprowadza w niezwykłym tempie odbudowę neohitlerowskiej armii. W pierwszym rzędzie ujawnia się wszystkie dotąd wykonane prace w ramach kompetencji tzw. Urzędu Błanka. Na scenę wychodzą przy tym najbardziej ponure postacie hitlerowskich zbrodniarzy wojennych z tytułami marszałków, generałów i innych wyższych stopni oficerskich. Nazwiska krwawych katów Europy z okresu II wojny światowej wylaniają się zarówno w sztabie Adenauera, jak i w sztabach Organizacji Paktu Atlantycznego. W ciągu kilku lat — według obliczeń prasowych — Niemiecka Republika Związkowa będzie posiadała największy kontyngent wojsk w Organizacji Paktu Atlantycznego. Z tym wiąże się decydujący wpływ w oficerów na sztab amerykański. Jest przy tym rzeczą charakterystyczną, że neohitlerowska armia ma wszystkie cechy armii zaciężnej. Nie będzie ona obciążona „kosztami administracyjnymi”, które w dużej mierze przejmuje Organizacja Paktu Atlantycznego. Ten fakt przynosi w niezwykły sposób „sprawność” zaciężnej armii zachodnio-niemieckiej. Jednocześnie fakt ten podkreśla ściśle uzależnienie tej armii od jej organizatorów amerykańskich i brytyjskich.

Totalna remilitaryzacja Niemiec zachodnich pociąga za sobą ogromne koszty. Byłoby przesadą posądzać Organizację Paktu Atlantycznego o wyłączne ponoszenie tych kosztów. Jeden z czołowych organów wschodnio-niemieckich („Tagliche Rundschau” z 1955 nr 87 i nr 115) obliczył koszty zbrojeń zachodnio-niemieckich w oparciu o cyfry budżetowe ujawnione w Bonn. Z obliczeń tych wynika, że utworzenie półmilionowej armii w Niemczech zachodnich kosztuje 81,3 miliarda marek. Koszty okupacji w okresie tworzenia tej armii zachodnio-niemieckiej wynoszą 3,2 miliarda marek. Do tego dochodzi suma 2,7 miliarda marek na budownictwo koszar, poligonów itp. Cyfry budżetowe preliminowane na badania i prace związane z produkcją rodzajów broni ABC nie są ujawniane. W efekcie przedstawia się to tak, że w ciągu najbliższych trzech lat zamierza się wydać na zbrojenia 90—100 miliardów marek, to znaczy ponad 30 miliardów marek rocznie. Wynika z tego dalej, że poczynając od 1955 roku Niemiecka Republika Związkowa wyda na uzbrojenie neohitlerowskiej armii przeciętnie trzykrotnie więcej niż wydawała w poprzednich latach w wszystkie wydatki państwowe razem wzięte. Jest rzeczą oczywistą, że za to wszystko płaci podatnik, a więc człowiek pracy.

Analiza układów paryskich z 1954 r. dokonana z tego punktu widzenia upoważnia zatem całkowicie do sformułowania wniosku, że te układy są jednocześnie dysponentami totalnej remilitaryzacji Niemieckiej Republiki Związkowej.

Artysta — Wychowawca — Człowiek



Aleksander Zelwerowicz

nie umiera człowiek, choć zamilknie jego głos — jeżeli drabina dobroci, którą stworzył, trwać będzie w pamięci ludzkiej i losach innych. Nie umiera artysta, jeżeli ślad jego twórczości zostanie przejęty i poniesiony w przyszłość przez współtowarzyszy lub następców.

Mówiono, że sztuka aktora milknie wraz z jego śmiercią, że ani wspomnienia, ani fotografie, ani nawet utracony głos i gest nie przedłużą jej istnienia. A jednak nieprawda. Zaprzeczając temu życie i twórczość Aleksandra Zelwerowicza. Książki i recenzje, fotografie i film, a przede wszystkim żyjąca w osiągnięciach artystycznych czyniwość myśli i dzieła, przedłużają aktywność twórcze życie zmarłego poza granicę fizycznej śmierci.

Jeśli zadaniem twórcy jest przekazanie innym najpełniejszą prawdę o życiu, jeśli o pełni artysty decyduje zbliżenie się do pełni człowieczeństwa, jeśli złożoność docześnie światła osiąga swój najwyższy wyraz w człowieku — to cechy te były i są trwałe i dobitnie obecne w całym życiu twórczym Aleksandra Zelwerowicza. Dlatego aktorstwo i człowieczeństwo mądrego wychowawcy teatralnych pokoleń były zawsze od siebie nierozdzielne. Dlatego scena i praca pedagogiczna łączyła się w jego życiu osobistym, ale i jego człowieczeństwo wzbogaciło nasz teatr. Pasja i intelekt, dobroć i troszczenie się o każdego przebieg myśli i talentu i wysokie wymagania stawiane młodym, niepowtarzalność jego kreacji, z których mogły czerpać wiedzę i umacniać sztukę całe pokolenia aktorów — świadczą o wielości zja-

wiska artystycznego, jakim był Aleksander Zelwerowicz.

U podstaw Jego twórczości leżało przeżycie ludzkie zamknięte w tekście autorskim i ożywione przez grę aktora. Wielki Artysta odszukiwał zawsze istotę, sedno tego przeżycia, filtrując je przez surową ocenę intelektu. Nieustająca współczesność ze sprawami ludzkimi, z cierpieniem ludzkością człowieka, którego reprezentowała postać sceniczna sprawiała, że dojrzała mądrość artysty była jednocześnie dojrzałą wyrozumiałością. Nie znajdujemy w Jego kreacjach nic z anemicznymi, nic z mimozwanego preintelektualizowania. Swoje postacie wypełniał po brzegi życiem. Były one plastyczne i realistyczne od pierwszych ról, nasyconych pełnym temperamentem humorem młodości, aż po najdojrzalsze kreacje ostatnich lat. Śmiech i cierpienie sąsiadowały obok siebie w życiu, sąsiadowały i w twórczości Zmarłego.

„Zelwerowicz — pisze Arnold Szyfman — grał chętnie role komedijne i wręcz farsowe, nawet buffonady i arlekinady, zwłaszcza za młodo, ale był to dla niego, nawet wtedy, kiedy tworzył arcydzieła humoru — chleb łatwy, codzienny, który go nie sycił dostatecznie. Nie wstydził się młodości i szeroki śmiech, jeśli nie szedł z serca, nie przechodził przez jakiś ból człowieka i mekę niepokojów”.

Dlatego mówiąc o etapach twórczości aktorskiej, czy w typach Jego kreacji wspominając stworzone przez niego postaci Falstaffa lub Spodka, Gracza lub Czepca, nie można rozdzielać tej twórczości na etapy zamknięte czasem lub rodzajami scenicznymi. Odnajdujemy dawnego Zelwerowicza z okresu, gdy rozpoczynał drogę twórczą również jako Pan Pickwick (1936) i powojenny już Szambelan Jowialski (1945). Ale i tym rolem towarzyszyło sięganie do najbardziej głębokich przeżyć ludzkich, które rodzą i oczyszczają się w cierpieniu i z tych poszukiwań powstają szczytowe role Zmarłego: Protasow z „Żywego trupa”, Adwokat — ze sztuki „Adwokat i róża”, Zebrał z „Elektry”, wspaniała kreacja Jaskrowicza z „Grzechu”. Docierając przez śmiech i cierpienie do sedna ludzkich spraw, odkrywał i przekazywał widzom prawdę, że człowiek nie może być wieczną samotnością. Nie cierpi i nie raduje się sam. Ze wywołaniem z tej samotności własnego wnętrza jest dlań współdziałanie z najbliższymi sprawami czasu, w którym żyje. I tak narodziła się wielka, zawierająca w sobie syntezę twórczości

wielu lat rola Dziadka ze „Sprawiedliwych ludzi”. Tutaj dojrzałość artystyczna połączona z prawdziwie ideową postawą osiągnęła najwyższy punkt. Artysta przewyższył kolektwo i chorobę, tak jak Jego dzieło przewyżczyło opór tworzywa.

Twórczość aktorską i reżyserską Aleksandra Zelwerowicza cechował stały niepokój poszukiwań najcelniejszego wyrazu artystycznego, środków najtrafniejszego przekazywania widzowi sensu i treści ról, które ożywia. Dotyczy to zarówno Jego wspaniałych kreacji dramatycznych, jak i kapitalnych, żywych i prostych ról komediowych. Poszukiwanie nowatorskie, w którym nie brakło i pośmięk, eksperymentatorstwo, towarzyszące każdemu prawdziwie twórczym drodze artystycznej, przygotowują atmosferę pod Jego największe osiągnięcia twórcze.

Jako reżyser był Zmarłym jednym z pierwszych, którzy tworzyli i rozwinięli nowoczesny typ przedstawienia teatralnego. Osiągając szczyty swego warsztatu reżyserskiego w inscenizacjach Moliera lub Beaumarchaisa, tworząc wielkie realizacje dramatu romantycznego był zawsze szczerzym przyjacielem sztuk współczesnych. I jako aktor i jako reżyser doskonale oddawał, a często i uszlachetniał artystycznie myśl i zamiar autora. Na stanowisku kierownika teatru w Łodzi, a później w Wilnie i Warszawie nie tylko wielki twórca i szeroko pojmujący sens operowania różnorodnym i bogatym repertuarem, zawsze pamiętał o wielkiej funkcji społecznej teatru. Szczególnie w okresie łódzkim (1909—1911) zaznaczył się Jego zasługi w zbliżeniu robotniczym masom najdoskonalszych utworów scenicznymi. Wesele, Sędziowie, Fantazy, Chory z urojenia, a przy tym Nadzieja, Ponad siły, Tkacz, oto repertuar Zelwerowicza z tych lat. Współpracując w teatrze im. Bogusławskiego z Leonem Schillerem i Williamem Horzycą, przyczynił się do osiągnięcia przez ten teatr świetnych efektów artystycznych, które stanowiły osobną kartę w historii polskiego teatru XX-lecia.

WÓRCZOŚĆ pedagogiczna Aleksandra Zelwerowicza towarzyszyła zawsze działalności artystycznej. Właściwie nie można rozdzielać tych dwóch dziedzin Jego życia. Obydłwie przez sztukę służył ludziom. W pierwszej — wzmagał się z uwierzoną w tektóre postaci sceniczną, by ją oswobodzić, przetłamać i ukształtować na miarę swego kunsztu i talentu, w

drugiej — tworzył artystów, uczył ich nie tylko rzemiosła, ale przede wszystkim umiowania teatru i ideowego stosunku do sztuki. Tu jak i na scenie nie znosił fałszu lub letniości. Zarządzając młodzieży swoim zapalem twórczym i ofiarnością, dzieląc się swoim doświadczeniem i talentem wymagał od nich również ideowego i życiowego stosunku do teatru. Dlatego, już z okazji 30-lecia swojej pracy artystycznej pisał w 1931 r.: „Mój testament brzmi następująco: Całe doświadczenie i zamiłowanie przekazuję młodszym moim kolegom. Niechaj kochają teatr jak samych siebie, a bliźnich swoich jak swój teatr...”

Niepokoił go brak entuzjazmu wobec teatru, każdy ślad wygodnictwa lub bezideowości zauważono w kandydatów do zawodu aktorów. Będąc wymagającym pedagogiem był zawsze najszczerzym przyjacielem młodzieży, jej opiekunem, myśląc nie tylko o jej osiągnięciach artystycznych, lecz także o warunkach, w których bytowała. Po wojnie chory i przemęczony opiekował się swymi najmłodszymi uczniami, z chwilą gdy rozpoczęli, często na dalekiej prowincji, trudną drogę artystyczną. Nic było dziwnego, że dla kilkudziesięciu Jego słuchaczy przedwojennych i dla podobnej liczby młodych aktorów, których wprowadził na scenę w dziesięciolecie był Aleksander Zelwerowicz i jest po śmierci nie tylko Mistrzem, ale i najbliższym przyjacielem.

Aleksander Zelwerowicz — to nie tylko wielki artysta, lecz również wybitny społecznik działający za pośrednictwem swojej sztuki i swego życia. Doceniając niespotykany w historii stopień opieki Ludowego Państwa nad sztuką, uważając godność sztuki i godność aktora za najwyższy swój przywilej, zaznaczył, że dopiero Polska Ludowa zapewniła artystom dramatycznym pozycję społeczną i warunki bytowania godne ich zawodu. Rozumiejąc społeczne zadania sztuki, był zawsze rzecznikiem odrębnych praw miłośników sztuki. Zmarły był współtowarzyszem rewolucji społecznej i kulturalnej dokonywanej się w nas. Należał również do tych, którzy byli i są sumieniem tej rewolucji.

Aleksander Zelwerowicz już po walnym choroba, wciąż jeszcze poszukiwał pełni swego wyrazu artystycznego, tworząc wielkie kreacje — Jaskrowicza w „Grzechu” i Dziadka w „Sprawiedliwych ludziach”.

Pomyłki kronikarza

JAK wynika z opatrzonej zwyczajnym mocnym tytułem notatki zamieszczonej w ostatnim numerze „Przeglądu Kulturalnego”, opublikowanej niedawno na naszych łamach artykuł Sylwestra Zaleskiego zaniepokoił kronikarza prasowego organu Rady Kultury i Sztuki. Lektura wspomnianej notatki zaniepokoiła z kolei nas. Ktoś tu istotnie popełnił pomyłkę.

Sprawa jest na pewno poważna i warto jej poświęcić kilka choćby pośpiesznie skróconych uwag. Nawet kronikarz z „Przeglądu Kulturalnego” spostrzegł, że nasze pismo publikuje od pewnego czasu artykuły poświęcone zagadnieniu tzw. inspiracji światopoglądu katolickiego. Prawdą jest również, że chodzi w nich przede wszystkim o rewizję dominującego dotychczas konserwatywnego charakteru funkcji społecznej tego światopoglądu. W naszym przekonaniu bowiem, konserwatywny charakter funkcji społecznej katolicyzmu nie jest konsekwencją prawd doktrynalnych, lecz ukształtował się pod wpływem historycznych uwarunkowań społecznej katolicyzmu. Zmiana tego stanu rzeczy jest możliwa. Sprzyjają jej zachodzące współcześnie — zarówno w skali polskiej jak i światowej — przeobrażenia i pro-

cesy społeczne. Ale taka zmiana, której przyspieszenia podjął się m. in. ruch społecznie postępowy katolicyzm polski, wymaga bez wątpienia wielu wysiłków, a zwłaszcza dużego wysiłku intelektualnego. Rozwijające się bowiem wewnątrz społeczności katolickiej procesy odrodzenia, skupiające się wokół zagadnienia funkcji społecznej katolicyzmu, muszą znaleźć swe teoretyczne uzasadnienie. Dyskusja jest więc konieczna. Wtrącił się do niej również kronikarz z „Przeglądu Kulturalnego”, zabierając głos z pozycji marksistowskiego materialisty filozoficznego. Tym większa szkoda, że niefortunnie.

Można mieć uzasadnioną pretensję do autora notatki w „Przeglądzie” za powierzchowną i w konsekwencji fałszywą interpretację poglądów wyrażonych w artykule Zaleskiego. Nie zadając sobie zapewne większego trudu, kronikarz postawił bezstronnie znak równości między pojęciem światopoglądu a pojęciem wiary i w rezultacie raz po raz wikał się w walkę z cieniem Ciekawości jesteśmy na przykład, w którym miejscu Zaleskiemu sło o to, by przekonać czytelników, że „materialistyczna wiedza o świecie” (w naszym języku: wiedza o prawach rządzą-

cych rzeczywistością przyrodzoną, stworzeniem) stanowi niezbędny składnik wiary (podkreślenie nasze). Wynikałoby z tego, że nie można być członkiem Kościoła bez odpowiedniego cenzusu naukowego. Nawet nam postulat taki wydaje się nieco przesadzony i o ile nam wiadomo — nie uciele ma wspólnego z artykułem Zaleskiego, ani z jakimkolwiek rozsądnym, nie tylko katolickim punktem widzenia na sprawę wiary i wiedzy. Naszym zdaniem wiedza o rzeczywistości przyrodzonej nie jest bynajmniej składnikiem wiary, natomiast dążenie do jej zdobycia powinno cechować człowieka wierzącego, traktującego poważnie religijny nakaz doskonalenia świata. Dlatego potrzeba zdobywania wiedzy o świecie, zawarta jest siłą wewnętrznej konieczności w pojęciu światopoglądu katolickiego, co słusznie podkreślał Zaleski. Natomiast z poglądem utrzymującym, że wiara religijna objaśnia sama przez się wszystkie immanentne prawa rzeczywistości przyrodzonej, polemizować będziemy — jako z poglądem fideistycznym — z energią równą demaskatorskiej pasji kronikarza.

Do rzędu kronikarskich pomyłek zaliczyć trzeba również zdumiewające stwierdzenie, jakoby Zaleski

proponował uzupełnianie marksizmu elementami światopoglądu katolickiego. Trudno o większe pomieszczenie pojęć! Nikt z nas, z Zaleskim włącznie, nie zamierza „chrzczyć” marksizmu, bo nawiasem mówiąc byłoby to zabieg pozbawiony sensu. Materialistyczny monizm marksizmu nigdy nie będzie katolickim dualizmem i na odwrót — katolicki dualizm nigdy nie będzie materialistycznym monizmem marksizmu. Eklektyczne „uzupełnianie się” mogłoby co najwyżej „położyć” obie filozofie. Należy przypuszczać, w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem, że do tego nie kwapią się ani marksisi, ani katolicy. Głosząc natomiast zasadę wieloświatopoglądowości obozu rewolucji socjalistycznej, stojamy na stanowisku wzajemnego szacunku i autentyczności odmiennych przekonań filozoficznych, bo na tym m. in. cwała zasada polega i tylko wtedy może być tworzona.

O cóż bowiem chodzi? Chodzi o to, by konsekwentna troska o dobro narodu budującego socjalizm stała się udziałem ludzi wierzących. Chodzi o umocnienie społecznej i politycznej jedności narodu, o wzbogacenie jego kultury. Chodzi o poszerzenie światopoglądowych motywów walki o socjalistyczny ustroj społeczny — gospodarczy, a nie o filozoficzny eklektycyzm, który byłby zgubą wieloświatopoglądowości. I taka jest wymowa artykułu Zaleskiego, której kronikarz „Przeglądu Kulturalnego” nie

zauważył, zniechęcony najwidoczniej jego hermetycznością i brakiem stylistycznej elegancji.

W związku z notatką kronikarza warto zastanowić się nad jeszcze jedną poważną sprawą. Czytamy w notatce: „Nie rezygnując z porozumienia, współpracy, współdziałania w praktyce politycznej i społecznej z wszystkimi ludźmi wierzącymi, walkę filozoficzną przeciw religii uważa marksizm za sprawę bynajmniej nie marginalną”. Zgoda. My też, realizując porozumienie, współpracując i współdziałanie w praktyce społecznej i politycznej, nie uważamy tej sprawy za marginalną, byle tylko nie imputowano nam skłonności do taniego eklektycyzmu, bo to mać powagę dyskusji. Istnieje natomiast dylemat: czy współuczestnictwo katolików w budowie socjalistycznego ustroju społeczno-gospodarczego, współuczestnictwo, które jest faktem społecznym, ma zasadzać się na wątpliwym pod każdym względem wyrachowaniu taktycznym i lekkoim oportunistycznym, czy też na intelektualnym, moralnym i ideowym przeświadczeniu o słuszności sprawy? Ruch społecznie postępowy katolików polskich wybrał tę drugą drogę i nie widzi powodu, by miało być inaczej.

(wbw)

Alfons Klafkowski

CZTERY REFLEKSJE



Spiaw zboża Wisłą do Gdańska. Fragment obrazu Izaaka van dem Bloeke (1608 r.)

KIEDYS, w dawnych latach, między pierwszą a drugą wojną światową panowały u nas dziwne nieco zwyczaje. Tzw. człowiek z ulicy — albo inaczej szary człowiek — zaczytywał się w długich kolumnach sensacyjnych opisów zbrodni, skandali, nieszczęśliwych wypadków i innych tego rodzaju „ciekawostek”. Często takie właśnie wiadomości, podawane pod krzykliwym tytułem przez prasę codzienną, stanowiły jedyny materiał do zaspokojenia potrzeb wiedzy ogólnej masowego czytelnika. Innymi nieco zainteresowaniami szczyli się np. działacze polityczni. Różne zresztą były te zainteresowania. Ale pewne jest, że zarówno początkujący adept sztuki politycznej jak i starzy, wytrawni bonzowie partyjni stonali od dzieł traktujących o ekonomii, gospodarce, handlu, finansach itp. Żenujące nieuctwo w dziedzinie zagadnień ekonomicznych było więc typowe nie tylko w szerokiej kręgach społeczeństwa ale również w burżuazyjnych sferach politycznych, w tych sferach, których rodzaj działalności wymagał gruntownej wiedzy ekonomicznej. Przekonanie, że ekonomia należy do rodzaju nauk dla wtajemniczonych specjalistów było zjawiskiem powszechnym. Próby zainteresowania szerokim ogółu naukami ekonomicznymi, podejmowane przez niektórych ekonomistów burżuazyjnych — na ogół zawodziły. Prasa zaś woląa zajmować się mniej „nudnymi” sprawami. Nie znaczy to oczywiście, aby politycy ci nie zajmowali się omawianiem spraw gospodarczych, przeciwnie, „państwowotwórcze programy”, „reformy” i „inicyjatywy”, podejmowane były niejednokrotnie przez publicystykę polityczną z tym jednak, że wychodziły one często spod piór ignorantów. Na tym tle zrozumiałą jest fakt, że hasła „wielkomocarstwo” anemicznej burżuazji polskiej przyjmowały się u nas nienajgorzej. Powszechne ubóstwo wiedzy ekonomicznej i zainteresowań tą dziedziną nie tylko umożliwiało proklamowanie śmiesznych nieraz w swej niezrozumiałości programów polityczno-gospodarczych (byłaby to jeszcze niewielka szkoda) ale powodowało fatalne następstwa w konkretnej działalności gospodarczej. Nie szkód materialnych poniosło społeczeństwo polskie przez nieznaną ekonomii może wykaże nasza historia gospodarcza. Można by napisać drugi, bardzo gruby tom „Dziejów głupoty w Polsce”.

Przełom, jaki w tej dziedzinie dokonany został przez politykę Polski Ludowej jest ogromny. Dziś trudniej już znaleźć analfabetów ekonomicznych; szkoły, prasa, kursy zawodowe i polityczne, cały aparat oświatowy i propagandowy zaangażowany został do upowszechniania wiedzy gospodarczej. A jednak... ale o tym na zakończenie.

Poniższe uwagi mają wykaazać, że nawet tak specjalny wynek gospodarki, jakim jest handel zagraniczny wiąże się z całym kompleksem zagadnień ogólnogospodarczych i społecznych. Uwagi te mają również wykaazać jak nieznaną ekonomii klasowe przynosiły obrzydliwe szkody społeczeństwu polskiemu oraz jak służy społeczeństwu właściwie zorganizowany handel zagraniczny.

KONSEKWENCJE SOBIEPANSKIEJ EKONOMIKI

KONIEC XV wieku charakteryzował się rozpoczęciem procesu dosyć zasadniczego przekształcenia struktury gospodarczej Europy zachodniej. Podupadało w bardzo szybkim tempie produkcja rolna, rozwija się zaś produkcja przemy-

słowa i handel międzynarodowy, a przede wszystkim handel zamorski. Wzrostała produkcja, zwiększając zapotrzebowanie nie tylko na artykuły przemysłowe, lecz także na artykuły luksusowe. Cały ten proces związany był bezpośrednio z rewolucyjnymi odkryciami geograficznymi i zjawiskami pochodnymi jak np. przyływem do Europy wielkich ilości metali szlachetnych.

Upadek rolnictwa na Zachodzie, zwiększone zapotrzebowanie na artykuły rolne, stworzyły Polsce doskonałą okazję do zdobycia pozycji głównego eksportera bardzo intratnych w owych czasach zboża i bydła. Można było spodziewać się, że Polacy wykorzystają tę jedyną okazję dla zakumulowania kapitału, który w przyszłości stanowiłby podstawę dla zbudowania w Polsce przemysłu. Mądrość naszej szlachty nie slegała oczywiście tak daleko. Szeroka myśl ekonomiczna zastąpiona została maleńkimi interesami podgolonych sobiepańców.

Co nakazywał robić rozsądek? Przede wszystkim utworzenie sprężystych i operatywnych organizacji handlu zagranicznego i zbudowanie odpowiednio wielkiej floty handlowej. A jak wyglądała rzeczywistość? Szlachta polska w obawie przed możliwością nadmiernego wzbogacenia się mieszczaństwa gdańskiego, a równocześnie obawiając się uszczerbku na własnych zyskach, odsuwała coraz bardziej kupców od handlu z Europą zachodnią. Kupiectwo gdańskie ograniczyło się więc do roli pośrednika między szlacheckimi dostawcami a zagranicznymi kupca-



M/S „Gdańsk” — statek polskiej produkcji w porcie gdańskim

mi. „Gdzie się dwóch bije tam trzeci korzysta” — mówi stare, pełne życiowej mądrości przysłowie. Korzystali przede wszystkim kupcy holenderscy, a tracili głównie Polacy. W roku 1567 szlachta otrzymywała w Gdańsku za jeden lasz (ok. 1800 kg) pszenicy około 21 czerwonych złotych polskich. Holendrzy płacili kupcom gdańskim za tenże lasz do 26 złotych, a sprzedawali na rynkach zachodnich za 57 złotych. Bajeczne zyski kupców holenderskich nie ograniczały się oczywiście do transakcji zbożowych, brak własnego aparatu handlu zagranicznego zmuszał Polskę do korzystania z usług Holendrów również w dziedzinie importu, gdzie zyski były często jeszcze większe. Według obliczeń Rybarskiego („Handel i polityka handlowa Polski w XVI stuleciu”) straty, jakie Polska ponosiła w związku z ta-

wystarczą dla zilustrowania zjawiska. Podczas kiedy kapitaliści zagraniczni ograbiali systematycznie gospodarkę polską, nasza burżuazja zajmowała się proklamowaniem państwa wielkomocarstwowego. Nie wiadomo czego tu więcej było — cynizmu czy głupoty.

NA NOWYCH DROGACH

HANDEL zagraniczny Polski Ludowej zasadniczo różni się od smutnych tradycji szlacheckich i burżuazyjnych. Podobnie jak cała gospodarka narodowa podporządkowana jest interesom ogółu społeczeństwa, służy zaspokojeniu stale rosnących potrzeb tego społeczeństwa. Wartości sukcesów handlu zagranicznego nie mierzy się już zyskiem tego lub owego kapitalisty lecz realnym wkładem w rozwój gos-

podarstwa narodowego. Jak to wygląda w praktyce?

Można mówić o zmianach ilościowych i jakościowych w kierunkach handlu zagranicznego oraz o zasadniczych zmianach organizacyjno-ekonomicznych.

Plany handlu zagranicznego powiązane są w sposób bardzo ścisły z planami produkcji i spożycia. Salda bilansów towarowych poszczególnych pozycji towarowych (różnica między zaplanowaną ilością produkcji i zaplanowaną ilością spożycia) są podstawą do opracowania planów importu i eksportu. Ujemne salda (niedobory) wchodzą do planów importowych, dodatnie (nadwyżki) — do planów eksportowych. Dzięki takim zasadom przekreśla się raz na zawsze dziwotał przedwojennego handlu zagranicznego, tzw. „eksport głodowy” i import nadmierne luksusowych towarów.

Ścisłe wykonywanie planów handlu zagranicznego napotyka jednak na bardzo poważne trudności. Wyni-

katunkowych produktów przemysłowych, w tym wiele takich, które do niedawna jeszcze musieliśmy importować. Część z nich nie odgrywa jeszcze dostatecznie wielkiej roli w handlu zagranicznym, jednak plany produkcji tych towarów pozwalają optymistycznie patrzeć na przyszłość naszego eksportu. Do najbardziej interesujących towarów eksportowych należą obrabiarki polskie, które cieszą się zasłużoną sławą za granicą i skutecznie konkurują z obrabiarzami produkowanymi w krajach zachodnich. Eksportujemy już komaslety urządzeń fabrycznych, tabor kolejowy. Jesteśmy drugim na świecie po ZSRR producentem maszyn górniczych. Sięgniemy do cyfr. W roku ubiegłym eksport obrabiarek wzrósł w stosunku do 1949 r. — 3,5-krotnie, eksport statków (nowa gałąź naszego przemysłu) — wzrósł 11-krotnie, eksport taboru kolejowego — 16-krotnie, zaś eksport samochodów wzrósł w ciągu jednego roku (1953—1954) 6,5-krotnie. Do nowych towarów eksportowych należą wiele produktów przemysłu chemicznego jak: garbniki, barwniki, elektrody węglowe i grafitowe, różne rodzaje związków węglowodorków itp.



Fragment Fabryki Wagonów „Pafawag” we Wrocławiu

Niesposób wymenić wszystkie produkty, przykładowo wymienione świadczą o kierunku rozwojowym naszego handlu zagranicznego i oczywiście całej naszej gospodarki.

SPRAWY JESZCZE DO ZALATWIENIA

ZORGANIZOWANIE na nowych podstawach polskiego handlu zagranicznego nie rozwiązuje wszystkich spraw. Pozostaje cała dziedzina gospodarskiego stosunku szerokich rzesz pracowników przemysłu i instytucji handlowych do handlu zagranicznego. Trzeba sobie szczerze powiedzieć, że jest to sprawa otwarta. Praktyka wykazała, że za upowszechnieniem wiedzy ekonomicznej nie zawsze idzie właściwy wzrost odpowiedzialności za gospodarkę narodową. Przykładów niegospodarskiego stosunku do handlu zagranicznego dostarcza zarówno nasz handel eksportowy jak i importowy. W zakresie eksportu zauważyć można trudności konkurencyjne z państwami kapitalistycznymi, których towary są często lepszej jakości. Oto zadanie dla naszych robotników, inżynierów i konstruktorów. Trzeba ciągle ulepszać jakość wykonawstwa, a przede wszystkim należy ulepszać i unowocześniać konstrukcje maszyn i innych mechanizmów produkowanych w naszych fabrykach. Wprawdzie możemy się poszczycić poważnymi osiągnięciami w produkcji skomplikowanych maszyn — np. polskie obrabiarki i tokarki należą do najciekawszych eksportatów u nas maszyn ma konstrukcje archaiczne. Konstrukcja traktorów „Urusa” była „złagierem techniki”... 30 lat temu, dziś winna się znaleźć nie na polach chłopskich, lecz raczej w muzeum. Również wygląd zewnętrzny naszych produktów budzi wiele zastrzeżeń. Widząc np. młkane po Warszawie samochody „De Luxe” nie trudno zauważyć starożytności sylwet naszych „Warszaw”. Trzeba sobie jasno powiedzieć, że „muda” w zakresie zewnętrznych form produktów przemysłu maszynowego zmienia się nieomal tak szybko, jak stroje damskie i ma poważne znaczenie w transakcjach handlowych. Zwiększenie wymagania estetycznych jest faktem, którego nasi konstruktorzy nie mogą nie doceniać. Poczucie odpowiedzialności za efektywność ekono-

miczną handlu zagranicznego nie zaczyna się bowiem w biurach instytucji eksportowych, lecz przy stole kreślarskim konstruktora i warsztacie pracy robotnika.

Import ma również swoje „grzechy”. Wiadomo, że najpoważniejszymi pozycjami importowymi są towary inwestycyjne oraz surowce i półfabrykaty przemysłowe. Jest to zjawisko zrozumiałe, jeśli uwzględnimy fakt, że handel zagraniczny, podobnie jak wszystkie inne działy gospodarki narodowej służy przede wszystkim przebudowie gospodarstwa na przemysłowo-rolnicze. Często spółka się lekkomyślny stosunek do importu. Kierownicy zakładów przemysłowych, wykorzystując uprzywilejowaną pozycję importu inwestycyjnego — przedstawiają odpowiednim centralom handlu zagranicznego długie listy zapotrzebowań na deficytowe towary inwestycyjne. Niejed-



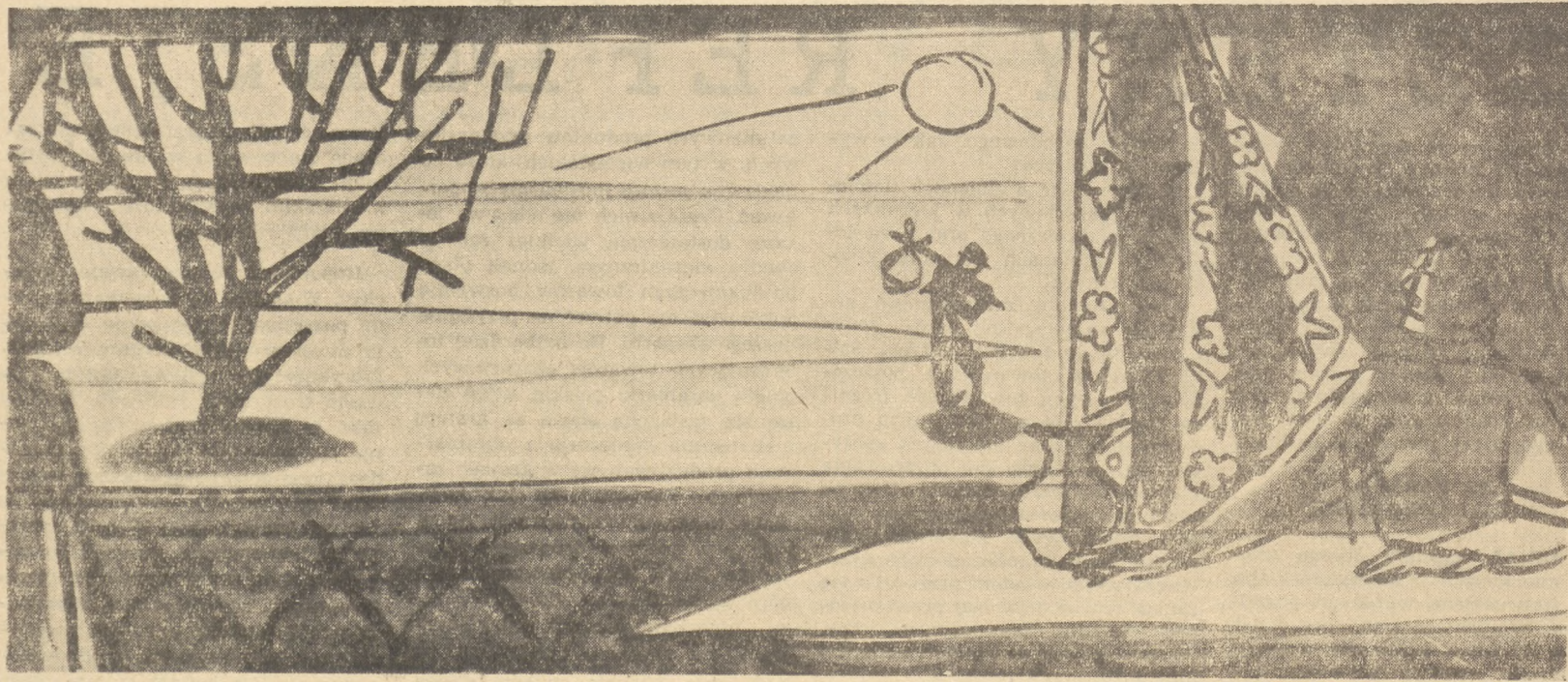
nokrotnie produkty te można wytworzyć mniejszym lub większym nakładem w naszych przedsiębiorstwach, używając zastępczych surowców własnych lub przekształcając konstrukcje mechanizmów produkowanych u nas. Linia najmniejszego oporu jest niestety ciągle jeszcze zbyt często spytkana w naszej gospodarce. Można ograniczyć skutki swoistego liberalizmu w dziedzinie importu zarządzeniami, uchwałami i ścisłą kontrolą planów importowych — nie zlikwiduje się jednak tego zjawiska do czasu, kiedy wszyscy kierownicy zakładów przemysłowych nie wyrzekną się podwórkowego patriotyzmu zakładowego i nie zaczną myśleć kategoriami odpowiedzialności za całość gospodarstwa narodowego. Patriotyzm zakładowy tylko wtedy jest twórczy kiedy skojarzony jest i zharmonizowany z interesami całej ekonomiki.

CHODZIMY sobie spacerkiem między różnorodnymi i kolorowymi stoiskami Targów Poznańskich. Podziwiamy „cuda” najnowszej techniki, cieszymy się oglądając wspaniałe maszyny z napisem „Made in Poland”. Pamiętajmy jednak, że to, co zdobyliśmy jest rezultatem twórczego wysiłku nas samych, wysiłku połączonym często z koniecznymi wyrzeczeniami. To władza klasy robotniczej stworzyła nam warunki do tak wspaniałego rozwoju — nauczymy się w pełni korzystać z tych warunków, wystrzegamy się starych błędów. Obowiązek gruntownej wiedzy ekonomicznej, znajomość skomplikowanych związków życia gospodarczego z życiem społecznym i obowiązek gospodarskiego, troskliwego stosunku do wszystkich, nawet najmniejszych zadań produkcyjnych — oto postulat.

Zygmunt Drozdek.

* Niektóre dane zaczerpnięto z pracy S. Galia i J. Krynickiego „Ekonomika handlu zagranicznego Polski”.

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 4 zł. Kwartał 12 zł. Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43. Tel. 8-60 11 (15). Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listownie Zakłady Drukarskie i Wskładnicze RSW „Prasa” w Warszawie Marszałkowska 8/5. Zam. Nr 1453. B-4-17333



ANTONI PODSIAD

SNYCERSKA PROCESJA

Płaskorzeźba

Kunst

Czy widzieliście kiedy, jak świt wsi u morwy
lecz poczwarka, gdy jeszcze świat owity jak kokon
nitką jedwabną, która jest po to, by się snuła?

Wtedy jest wraźność nabrzmiała i prężna nadzieja —
lecz jakże ważący boski strzęp rzeczywistości,
gdy zmysły skąpe spłowiących barw aż nazbyt mało,
gdy palec tępy cylindrem krwi oślepiającej?

Po tamtej stronie niebo oparte na ziemi
ramieniem pulchniejszym chyba niż ramię kochanki.
Z boku stoi bosy wędrowiec na cmentarzu
z wilgotnych dzbanów glinianych przepętnionych wzruszeniem.

Słyszycie kroki rosące: jak wiszą i stromo wzbierają,
gdy mrowie drętwe od stóp i czerwone mrówki
po gołeniach pełzną i wstążka krwi związana
na kokardkę. Czy starczy bosą stopą rozgarnąć
czoło ziemi albo unieść dłoń ot tyle —
na wysokość chłopczyka płowej główki, aby
coś powiedzieć na miarę smutnej, smutnej śmierci?

Wykrochmaleni ludzie niedzieli o dłońach drewnianych
rzucają za siebie wymierne wraz z cieniami kroki,
lipy są dzwonekami na większą chwałę Boga,
cmentarz rozkołysany dymiącym trybularzem.

Przesłanie

Trzeba być synem i bratem niosącym swój czas heroiczny
by coś powiedzieć sensownie o drugim człowieku.

Oto grawerska robota, oto kruszec szlachetny!
Zatroskał się nasz snycerz — dobry mistrz w swym fachu,
bo cechowa tradycja uczy jak być cierpliwym
na wzór mrówki rzeźbiącej plaster życia i pszczołki...

lecz nic nie powie o krzyku ranionego ptaka
żłobiącym strużką srebro i piórach trzepoczących
ani też o dębie drążącym koronę ani
o bólu nic nie powie ani o cierpieniu.

A cierpienie ma kolor fioletowy, lecz w kruszcu
których kształt jest profilem, czy też może rzeka
zmiennych kruchych kształtów ryje trwale łożysko?

Szept nad pucharem

W tę noc czystą odrzucisz mdle wyobrażenie
kobiety o trzech nogach, by zapisać je w warkocz syreny,
świerkowa siekiera rozrabia księżyc na potęgę,
w powietrzu zawisnie nad głową tajemny palec milczenia.

Zebracy kryją się w słońcu — tajemnica w świetle —
złe pojałyby swą rolę, gdybyś tak krył słowa,
które nie są przecież kwietnymi dzwonekami, ale
mieczem tnącym metal w garści robotnika.

Posłowie

Płynię przez ciebie strumień, lecz sam nie jesteś milczeniem.

ODWILŻ

A potem była odwilż.
Chłopcy, którzy natykali się śniegu, porzucili topniejące
dziecko, które znalazło gumowego diabła z czerwonymi
fartecze — różkami —
koszyk matki z margaryną, ocalone zelówki —
wilka ze śniegu o nozdrzach jak stopy wulkanu, gwiazdach
wstawionych w ślepiu —
strasliwy czas pogardy i czas inny jak srebrny strumień
śniegu —
— odwilż, odwilż objęta, chlupiąca — niebieska —
— święteczna —
I jeszcze wśród odwilży leżał dziadunio jak namalowany
mrzeczem,
po prostu topniał, paraliż mieszał się z wodą. laska leżała
zgięta pod niebem,
na bródce okrucz śniegu czy okrucz uśmiechu; starszek
zaskrzypiał:
— Czemu ma śmierć być piękniejsza niżli narodziny? —; ktoś
powiedział:
— Dziadek do orzechów. — A już odwilż krzepła
i różowe niemowlę, pisklę narodzone w samym środku odwilży
To była powódź serca.



rys. Krystyna Maślanka

UNIwersYTET

Przyszedłeś więc, młody adept, lecz universitas senna
a ty w poszukiwaniu mądrości — powiadasz —
tak błądzisz; i coś ci powiem, nieśmiały i żarliwy?

Silentium. Na palce się wespnij, mozesz podglądać przez
klamkę;

profesor osiwiłał nad martwą jak wykład księgą
roztacza gesty tajemne i wyszeptuje zaklecia,
aż tuman prochu się niesie i prószy na mleczne srebro.

o przyjacielu młody — teraz zaczynaj — wiódł będziesz —
o burzy, która utargnie w ciszę biblioteki,
powyrywa z rąk księgi, z ksiąg słodycz i gorycz —
tak oto wiódł ty będziesz wśród ciepłych murów,
aż mury się zakotłysz, mury gniewnie ofukną.

ZYGMUNT FALKOWSKI

FREDRO ODZYSKANY

POEZJA Fredry! Na tle „czarnych narodowych nocy” — rozpadający się w tysiąc barwnych ogni fajerwerk śmiechu. W jego rozblasku, dopóki trwa zadanie nad czytelnikiem lub widzem, migocze korowód „dam i huzarów”, kontusze Cześnika i Rejenta, fraczki Gustawa i Leona Birbankkiego. Wibruje powietrze, eter i światło niezapomnianych wierszy:

O rozkoszy! choć na chwilę
Krążył śmiało pod obłokiem,
I na głupstwa nędzy tyle
Cichym mędrca rzucił okiem.
Im się wyżej, wyżej wzlata,
Ten punkt błota, serce świata,
To mrowisko nasze całe,
Jakże nędzne, jakże małe!

Poezja tak zrozumiała w swojej doskonałości, a jednocześnie — przedmiotem tylu nieporozumień, batalii, komentarzy. Żywił lekki, rwący się w górę, wyswobodzony z pęt grawitacji.

I oto przy lekturze małej książeczki Stanisława Pigonia „Spuszczona literatura Aleksandra Fredry”, traktującej o tej poezji, jesteśmy niejako przeniesieni w świat wzmozżonej grawitacji, gdzie każdy szczegół, drobniaczek, wiersz czy nawet litera tekstu Fredry waży niezmierznie wiele. Ten kontrast działa na naszą wrażliwość odświeżająco. Synchronizujemy bowiem owo piękno nadziemsko nieważkie z ciężkim i bardzo ziemskim warsztatowym trudem poety. „Spuszczoną literacką Aleksandra Fredry” należy koniecznie czytać łącznie z rozprawą „Z pracowni literackiej Aleksandra Fredry”, którą Stanisław Pigoń opublikował w „Pamiętniku Literackim” (1953 r.). Wtedy moralny jasny jak na dłoni: to wielki artysta płacił się cenę wielkiego mozołu. Gotowy druk przesłania często tę prawdę uludą niefrasobliwości, dopiero filolog przywraca jej całą surową powagę.

nie młody, choć od wieków znany humanizm, z jakim na przykład Erazm z Rotterdamu zbliżał do oczu po śmierci Tomasza Moore'a tekst jego „Utopii” i widział w liniach tekstu nie tylko zagadnienie edytorskie lecz także zagadnienie duszy zmarłego przyjaciela.

Filologiczny liryzm Stanisława Pigonia wypływa głównie z dwóch źródeł: z zachwyty dla piękna, jakim nas darzy Fredro i z oburzenia na jego fałszywość. Świadczy o tym taka, dajmy na to, apologia „stylowości” poety: „Dzieła Fredry stanowią fundament repertuarowy komedii klasycznej, dają wyraz pewnej minionej już epoki obyczajowej, grane być mogą tylko stylowo, w takim zaś razie każdy reżys, który nam ów styl może zasłonić, jest już zbedny, co więcej jest szkodliwy. Dzisiaj ma dla nas wagę wyłącznie pierwszy tylko stempel; wrażliwi jesteśmy na ów bukiet przeszłości i nie chcielibyśmy go zatracać” (l. c. str. 67). Pod pręgierzem stają zatem „retuszery” wszelkiego autoramentu. Zanim jednak Stanisław Pigoń tam ich doprowadzi — muszą w obszernej statystyce przeżyć wstyd swoich omyłek, zniekształceń, zafalszowań: „Takich zapędów poprawnościowych wynotowało się tu zaledwie czesć, ale dość chyba i tego, by unaocznić praktyki wydawcy z r. 1871. Oczywiście, ile się dało język Fredry z fredryzmów, przedstawił on komediopisarza Polsce w szacie o tyle zreparowanej i odnowionej, o ile... nieautentycznej.” (l. c. str. 58).

Dla Stanisława Pigonia w tekstach komedii, w zapiskach, wspomnieniach, w korespondencji, które on siedi od rękopisów przez pierwodruk i różne wydania, zatem in statu nascendi — staje się coś, co fascynuje: staje się sam Fredro. Z logiki tego stawiania się „we własnym jestestwie” (pożyczka od Mochnackiego) czerpie badacz argumenty filologiczno — biograficzne. Tak to wygląda chociażby w replice przeciwko Eugeniuszowi Kucharskiemu za jego kunktatorską ocenę życiowych reakcji pisarza, za błędną optykę filmu zwolnionego: „Nie można przede wszystkim zaprzeczyć, że krytyk mało się liczy z temperamentem pisarza. Według niego zamknięcie Fredry miało być wynikiem długo, bo przez trzy lata żywionego i ważonego zamysłu, owocem obrachowań,

oczekiwań, uzależnień itp. Nie przekonywa to bynajmniej. Fredro to nie zimnokrwisty Rejent Milczek, to już raczej gorąco kapany Cześnik Raptusiewicz. Pokazał on to nie ten jeden raz; zwyczaj porywocznego zatrząskiwania za sobą drzwi zachował długo. Zatrzasnął je w gabinecie Stadiona w r. 1848, gdy szło o przeciwstawienie się centralizmowi austriackiemu, w izbie sejmowej 1861 r., gdy szło o mandat poselski...” (l. c. str. 91). Jeżeli są to dygresje, do czego i autor się przyznaje, to dzięki nim czyta się książkę z rosnącym zaciekawieniem.

Historia wydań, omówiona przez Stanisława Pigonia poucza, że cenzor i niedbały wydawca byli głównymi fałszerzami oryginałów Fredry. Każde „pinxit” wymaga tu bacznego przezorności i nakładu zestawień, sferań, konfrontacji. Pod warstwą fałszerkiej poprawy ukrywa się oryginalny Fredro. Trzeba ją usunąć. Pora odpowiednia po temu. Rzeczpospolita Ludowa ma w troskliwej pieczy klasyczny naszej kultury. Pionierskie wydanie Eugeniusza Kucharskiego (1926 r.) urwało się na szóstym tomie. Objęło wszystkie komedie. Brak w nim jednak prozy i wierszy. Przepadły cenne komentarze, odmiany tekstu. Fredro czeka na wydanie godne jego imienia, które brzmi naprawdę obowiązkowo.

Wydanie jest zapowiadane. Stanisław Pigoń udziela tej zapowiedzi nuty optymistycznej, „nie trzeba już długo czekać” (str. 8). Kazimierz Wyka pisze do niego „przedświście”. Na ostatniej kartce „Spuszczony literackiej Aleksandra Fredry” czytamy: „Wydanie przygotowywane mimo swej naukowości mieć musi na względzie szerokie i coraz szersze dzisiaj kręgi odbiorców, nieobojętnych na wysokie osiągnięcia naszej przez dzieje rozwijającej się kultury artystycznej. Dać tekst literacki obranego pisarza, ustalone krytycznie jak najściślej i jak najpoprawniejszy, a objaśnić go możliwie szczegółowo i przystępnie — oto jak się nam przedstawia w naszym wypadku zadanie dzisiejszej sztuki wydawniczej i nauki filologicznej, zgodzonej z potrzebami życia” (str. 137).

to mimo najlepszej chęci wydawców zasianych usterkami (Biegeleisen) czy też niedokńczonych (Kucharski) — wydanie Stanisława Pigonia, „com dawno tuszył i w głos opowiadał” ukaże się jako... archipelag Fredry odzyskanego.

Spuszczona literatura Aleksandra Fredry” nabita jest problemami. Chronologia, interpretacja, biografia — im bliżej wzięte pod lupę badawczą tym więcej ujawniają szczegółów zagadkowych. Prowokują, wabią, kuszą. Takim pokusom, takim wabikom zawdzięczamy na przykład rozkoszne „Obrachunki Fredrowskie” Boya. Książka Stanisława Pigonia jest także tworem dobroczynnej prowokacji klasyka, o którym wiemy, że jeszcze sporo nie wiemy: „Tym się uzasadnia, wyjaśnia badacz, że takie wstępne prolegomena wydawnicze musiały być przy tym autorze potraktowane dość szeroko, szerzej niż to bywa normalnie. Co za tym idzie nabrały one w dużym stopniu charakteru ogólniejszego, mogą zatem przedstawiać interes nie tylko dla filologów w ściślejszym tego słowa znaczeniu, ale także dla szerszego kręgu odbiorców literatury. Zwłaszcza zaś dla miłośników dzieła Fredry”. (str. 8). Istotnie dla miłośników Fredry znajdzie się u Pigonia parę rarytasów. Utało się przekonanie, lansowane zresztą niemal we wszystkich podręcznikach, że Fredro przestał pisać wskutek rzekomo brutalnej nagonki Seweryna Goszczyńskiego. Przecież to, załamywano ręce, miazdząca obelga, że ów demokratyczny zabijaka osmielił się autora „Dam i huzarów” znieślawić mianem pisarza nienarodowego, który w duchu swej warstwy maniere po cudzoziemsku i styl i obyczaj społeczeństwa. To mogło doprowadzić do zacięcia się w milczeniu. Arcypolak pod kłatwą antypolskością! Zaiste, powód, żeby pisać jedynie dla szufłady i to po dłuższym, bo piętnastoletnim namysle. Sam Fredro przypięczował sprawę szczerym wyznaniem:

Ale nic nie straciłem, żem kilka lat czekał,
Bo jakiś Minos powstał i zaszczał wściekle,
Chciałby moich pięć widzieć piekle,
Złem pisał, Zgoda, Ale źle pisać nie zbrodnia,
Trafiło się to dawniej i trafia się co dnia.
Byłem więc więcej złością, niż treścią zdziwiony,
A kiedy nikt się mojej nie podjął obrony,

Nie mogłem pojąć, zgadnąć, czy rada czy zdrada
I zrozumiałem tylko, że milcząc wypada.
Milczalem lat piętnaście i nie schudłem wcale.
(„PRO MEMORIA”)

Fredro zamilkł. Wszczęto dochodzenia w poszukiwaniu winowajcy. Odswieżono przedawnione zarzuty Goszczyńskiego z artykułu: „Nowa epoka poezji polskiej” (1835 r.) Trzeba jednak przetasować perspektywę krytyki z trzydziślatych piątych lat ubiegłego wieku z perspektywą o wiele późniejszych egegetów „rdzenności narodowej”. Podporządkujmy chronologii to, co miało następstwo chronologiczne. „Arcypolskość” i „arcynarodowość” dopiero z latami przyrośły do Fredry. Dla romantycznego widza z paradz był on hrabią, trubadurem salonów i dworów. Demokrat tamtych czasów, przysięgający na wolność i lud, musiał „mieć w najwyższej pogardzie” wyfraczonych nierobów Gucio, Albinów, Wacławów, wyfiokowane Klary i Elwiry — obce, elitarne, nienarodowe, bo nieludowe. Goszczyński, ugodziwszy Fredre, celował w ogóle w zacołańców. Czy istotnie był on sprawcą fatalnego milczenia Fredry? Boy powątpiewał: „Fredro dawał zresztą motywy rozmaite. To przyczyną był Goszczyński, to znów nie Goszczyński, ale to, że nikt nie stanął w jego obronie, to jakiś werdyk, który powiedział mu, że jego sposób myślenia spotyka się z ogólnym zatepieniem” („Obrachunki Fredrowskie”). Boy zniecierpliwiony tym brakiem zdecydowania przypuszcza, że Fredre, który był pisarzem z amatorstwa nie z zawodu, po prostu odechciało się pisać i nie sprzyjała mu wena. Zawiesił więc do czasu lutnia na kotku. Czas zniechęcenia minął i minęło milczenie.

Co jednak zrobić ze „szczekającym Minosem”? Traktować go jako ozdobnik krasomówcy z motywów mitologicznych? Nie, bo to przecież konkret, to fakt z biografii. Obstać przy Goszczyńskim? U Pigonia czytelnik znajdzie coś tak zaskakująco prostego, jak jajko Kolumba: mała cytata z dzieła wielkiego znawcy czasów Fredrowskich, Karola Estreichera. „Potępienie w tym rodzaju rzucone Fredre we Lwowie, a to piórem młodzieńca bez zaskąd i wytrawnego sądu, było ostatecznym, a bodaj jedynym powodem, iż nagle przerwał zawód autora dramatycznego i zsmilkł na zawsze. Mylnie zatem biografowie Fredry zniechęcenie się poety przypisują, to krytyce Pola, to krytyce Goszczyńskiego”. („Teatra w Pol-

scie” t. III, str. 444) Obwarowując rzecz rozlicznymi argumentami Pigoń stawia hipotezę, że to był jakiś pismak z klanu Leszka Dunin Borkowskiego, radykalisty, „kuglarza i podziwu gawiedzi”. Trop o dziwo, zatrzymuje się przy „Lucianie Siemińskim: „Gdyby się dało poprzeć domysł dowodem, byłaby to rewelacja nie lada”. (str. 105). Rzeczywiście, bo Siemiński wypisał szumną pochwałę Fredry zaraz po jego śmierci. Cóż by to był za kapitalny przykład podwójnego życia w krytyce literackiej: ta pochwała obok tamtego „szczekania Minosa”. Wydawca uzyskał w tym procesie o Minosa cenny wskaźnik chronologiczny: „Jeżeli sam pisze, że zamilkł dopiero po bezkarnym osobaczeniu go przez Minosa, to jest sprawą jasną, że milcząc postanowił w r. 1842”. (str. 110). I milczał „lat piętnaście” czyli do 1857 roku.

Równie misternym dowodzeniem, frapującym czytelnika, okrąża Stanisław Pigoń zagadkę pierwszego utworu Fredry po długoletniej honorowej pauzie i wreszcie spada w centrum rzeczy: „Wszystko to razem pozwala orzec z pewnością prawie całkowitą, że komedia, której szczęśliwy poród otwiera nową serię twórczości, był „Wielki człowiek do matych interesów”. Początek w latach wczesnych, co najmniej w r. 1855. przechodził w formowaniu się twórczym pewne stadia dojrzewania: pierwotna redakcja czteroktowa rozrosła się do aktów pięciu, co wszystko zajęło trochę dłuższy czas tworzenia. Niewątpliwie jednak już na początku r. 1857 utwór był gotowy w kształcie ostatecznym” (str. 115, 116). Z „pewnością prawie całkowitą”. Właśnie. Jeżeli chronologia kodeksów L4 i L5, które stanowią kamień węgielny rozumowania, jest muirowana, to i wnioski są muirowane. Jakoś to nie trafiło do przekonania Wojciechowi Natansonowi: „Otoż, Proszę darować, ale ten wniosek wcale mi się nie wydaje tak „prosty i bezsporny”. Przecież Fredro mógł nie umieścić w wykazie przyszłych swych dzieł tych utworów, które mu się nie wydawały godnymi druku... Zdaje mi się natomiast, że wolno powiedzieć: sprawa nie jest jeszcze rozstrzygnięta”. („Teatra” 1954 r. nr. 13). Zdaje się, że największa i bezsporna istotnie rozkosz, to samo poznanie klasyka przy roztropnym założeniu, że nigdy go się nie wyczerpie do dna Boy, odsiedziawszy sumiennie czanad wtajemniczeniem w arkan „fredrologii”, wyrażał się następująco: „o swojej wiedzy z cierpkością Fausta. „I wreszcie z zakotłowaną

NAD DZIEŁEM FRANCISZKA MAURIAÇA

GDY chcemy mówić o centralnym problemie twórczości powieściowej Mauriaca jakim jest sprawa Łaski, natrafiamy na poważną trudność: ani w rzeczywistości pozaliterackiej przywołanej przez wierzącego chrześcijanina, ani w powieściach Mauriaca Łaska nie jest zjawiskiem odrębnym od całokształtu ziemskiego życia człowieka, określonego historycznie, uwarunkowanego społecznie i biologicznie; przeciwnie — jest ona w to życie całkowicie wtopiona. Chcąc więc rozważyć zagadnienie Łaski, nie podobna pominąć milczeniem wielu spraw natury socjologicznej i psychologicznej.

„Pod maską zewnętrzną, którą zajęcia codzienne nakładają na nas wszystkich — uczonych i prostaków, robotników i pisarzy, wytworne damy i kobieciska najrozmaitszego gatunku, żyje ta sama istota ludzka, we wszystkich epokach jednakowo: cierpi, rezygnuje, zazdrości, potrafi popełnić mord i ponieść ofiarę” (Mauriac — „Dziennik”). Mimo takiego stwierdzenia, czy nawet wbrew niemu, Mauriac, „napiętnowany” najwidoczniej realizmem, uwzględnił w swej praktyce literackiej w znacznym stopniu wszelkie „przypadłościowe” cechy człowieka, będące wynikiem przynależności klasowej i środowiskowej. Tylko, że są to wyłącznie cechy mieszczańskiej i obszarnej, bo do ukazywania tych dwóch środowisk ogranicza się w swych powieściach autor.

Barierami odgradzającymi bohaterów Mauriaca od Łaski są najczęściej takie ich właściwości jak skąpstwo i chciwość, przywiązanie do wygodnego, mieszczańskiego życia, nieraz — piękno i urodę, wreszcie wyrafinowana, a w każdym razie skomplikowana zmysłowość. Słusznie stwierdza R. Garaudy, że bohater Mauriaca „znajdujący się poza obrębem Żyrondy, a zwłaszcza poza obrębem wielkiego mieszczaństwa w Żyrondy, staje się nieważnym, schematycznym figurantem”. (R. Garaudy — „Literatura garabazj”). Wszelkie zażebienia problemów najbardziej istotnych dla katolicyzmu z konfliktami klasowymi nie przebiegają u Mauriaca na płaszczyźnie socjologicznej, lecz wyłącznie psychologicznej. Jeśli na zebraniu kongregacji chrześcijańskiej „Amour et foi” („L'enfant chargé de chaînes”) młody robotnik — katolik wola: „Il y a des choses que les bourgeois ne comprendront jamais!”, to odkrył ten spowodowany jest jedynie dzie-



François Mauriac

wleści Mauriaca, towarzyszą inne jeszcze ograniczenia, niemniej typowe dla tego autora. Jednym z nich są jansenistyczne skłonności Mauriaca, zarysowujące się zwłaszcza we wcześniejszych jego dziełach i wynikające z nich antynomia natury i Łaski (zresztą antynomie te stara się autor przewyżycić). Inne jeszcze ograniczenie polega na pominięciu intelektualnej drogi w procesie dochodzenia do Boga: bohaterowie Mauriaca zamykają swój stosunek do Łaski w sferze wyłącznie uczuciowej i moralnej, przy czym centralnym problemem etycznym są wyzroczenia przeciw szóstemu i dziewiętemu przykazaniu. O tego rodzaju ograniczeniach, wynikających między innymi z charakterystycznych właściwości talentu Mauriaca, z jego poglądów polityczno-społecznych, z tradycji, w których wzrastał — należy pamiętać przy lekturze utworów tego pisarza.

II

KŁĘBOWISKO zmił — tytuł jednej z cenniejszych powieści Mauriaca mógłby być reprezentatywny — jako symboliczny skrót, ujmujący trafnie istotę moral-

nej wartości przedstawionych środków ludzkich — dla wszystkich chyba jego utworów. Ci kupcy, właściciele lasów i winnice, przeżarci do dna chciwością i skąpstwem, śmiejącą i zarazem złowrogą próżnością, nacechowani egoizmem i bezwzględnością w stosunku do innych, tępi umysłowo i uczuciowo — pontury przedstawiają obraz. Ich stosunek do religii opiera się na płytkiej dewocyjności i hipokryzji, jak w wypadku rodziny adwokata Ludwika z „Kłębowska zmił” czy rodziny Bernarda Desqueyroux („Thérèse Desqueyroux”), bądź też — na wyraźnej wrogości wynikającej z panicznego lęku przed ewentualną ingerencją Boga, która byłaby przeciwstawieniem bezgranicznego egoizmu tych ludzi. Symbolem niejako tej ostatnio wspomnianej postawy jest złowrogi obraz procesji Bożego Ciała, kiedy to „w przeciagu jednej chwili miasteczko zamieniło się w pustynię, jak gdyby kroczył ulicą nie Baranek, lecz Lew”. A „skoro niebezpieczeństwo minęło, jedne drzwi po drugich zaczęły się otwierać” („Thérèse Desqueyroux”).

W takich środowiskach umieszcza Mauriac swoich głównych bohaterów, w których życiu ukazuje naczelnym problemem swej twórczości — problem Łaski. Ci bohaterowie to również moralne „kłębowska zmił”, potwory opanowane dzikimi namiętnościami, egoizmem i zazdrością. Najdalej głębi tego piekła osiągał tacy jak Gabriel Gradere („Czarne anioły”) — wyrafinowany spryciarz i zbrodniarz, przy tym brutalny egoista i rozpustnik; nie wyżej stoi Hervé Blenauge („Ce qui était perdu”) — kłamca i niewolnik zmysłowości, którego nie potrafi postrząchać o wymykania się do kochanki nawet moment śmierci żony. Nieco już „lżejszy kaliber” reprezentuje Teresa Desqueyroux, zbrodniarka z „konieczności” niejako, usiłująca wydosłać się z duszącej, zakłamej atmosfery rodziny i mordująca swego męża w przystępie bezsilnej rozpacz i nienawiści. Wreszcie — pokazna gromada ludzi nacechowanych pustką duchową, biernych najczęściej, znużonych życiem i po omacku szukających subiektywnie rozumianego szczęścia — dopełnia tę galerię. W jaki sposób kształtuje się stosunek tych ludzi do Łaski? Mauriac, zgodnie z poglądami religii katolickiej na tę sprawę, pokazuje, że w życiu każdego człowieka miał miejsce choćby jeden moment zniknięcia się z Łaską (pominawszy oczywiście sam chręst). Tragedia zaczęła się w chwili odrzucenia przez człowieka tego głosu „wołającego nań po imieniu”. Odtąd ów człowiek stał się coraz bardziej głuchym i tępnym na to wołanie, uparcie już schodząc w dół. Zbrodniarz Gabriel Gradere to niedoszły kleryk seminarium duchownego, który jednak później zgodził się „zostać wybranym”. Iwo Frontenac („Le mystère Frontenac”) czuje ten głos w zgiełku ulic Paryża, po których beznamiętnie błądzi w poszukiwaniu przemijających wrażeń. Ale z uporem powtarza: „zostaw mnie Boże”. Niezwykłe sugestywnie i silnie podkreśla Mauriac też złowrogą siłę wolnej woli w człowieku, skazującym się na duchową śmierć. Inną siłą wiążącą się w powieściach Mauriaca bardzo silnie z zagadnieniem Łaski jest miłość. Brak miłości, uczuciowa pustka, bądź też wzgardzona miłość — stają się często bezpośrednią przyczyną tego odejścia od Boga. Adwokat Ludwik zamyka się w swym wzrastającym egoizmie, oschłości uczuciowej, a potem nienawiści do ludzi w momencie, gdy dowiaduje się, że nie był nigdy kochany przez żonę. Młodego chłopca Jean — Paula („L'enfant chargé de chaînes”) zalamuje bezwzględność potępienia, jakiego spotyka go ze strony członków kongregacji katolickiej, której był uczestnikiem. Czynnikiem uniemożliwiającym Irenie Blenauge („Ce qui était perdu”) i Teresie Desqueyroux przyjęcie Łaski — jest brak miłości, płytką dewocyjność środowisk pseudo-katolickich, w których muszą przebywać. Konsekwencją takiego stanowiska autora jest nakładanie ogromnej odpowiedzialności na każdego człowieka, a w szczególności na katolika za jakoś postawy życiowej wynikającej z reprezentowanego przez siebie światopoglądu.

Brak miłości ze strony najbliższego otoczenia wywołuje w duszach bohaterów Mauriaca — jak powiedzieliśmy — nienawistną wrogość do całego świata, a co za tym idzie — nienawistność do Boga. Niektórzy usiłują jeszcze szukać tej miłości poza kręgiem najbliższych i poza Bogiem, znajdując jednak co najwyżej chwilowe zapomnienie i sięgając tym większe spustoszenie w sobie i wokół siebie. Do takich należą między innymi Edward z powieści „Ciało i krew”, Iwo Frontenac, Tota — bohaterka „Ce qui était perdu”.

III

MOJE imię nie jest: ten, który potępił; moje imię jest: „Jeżus” — czytamy w „Le noued de vipères”. Możliwość przewyżczenia zła tkwiącego w człowieku widzi Mauriac na drodze nadprzyrodzonej, którą jest ingerencja Łaski. Jest to jedyna siła, jedyna możliwość; „współ, czy nawet w mojej miłości mógłbym rozetrwać to zaczarowane koło” — mówi o sobie bohater „Kłębowska zmił” — Lud-

wik. „Trzeba by na to sily. Ale jakiej sily? Trzeba by tu kogoś. Tak, kogoś, w którym możemy się całkowicie zatopić”. Ten, „który jedynie mógłby odnieść to zwycięstwo”, musiałby być Sercem, ogniskiem palającym miłości. Ta siła, którą jest Łaska, choć nie dająca się zaspłacić przez żadną inną, jest w stanie przetworzyć największego grzesznika w świętego. Dużo mówiono o pesymizmie Mauriaca. Jeśli w ogóle słusznie jest przypisywanie mu tej postawy, to tylko z zastrzeżeniem, że dotyczy ona porządku natury człowieka. W odniesieniu do całokształtu osobowości ludzkiej, na którą działał ten porządek nadprzyrodzony, porządek Łaski — nie ma w powieści Mauriaca pesymizmu. Przeciwnie — siła, z jaką autor podkreśla niezmierny ogrom miłosierdzia Bożego przestającego całkowicie, nieraz w jednym momencie życia człowieka, który dotykał już piekła, napawa nas przeświadczeniem o optymizmie autora, optymizmie, który nawet niepokojącym niekiedy. Nie ma w utworach Mauriaca bohatera, w stosunku do którego autor nie pozostawiłby przynajmniej śladu nadziei co do jego zbawienia. Łaska sprawia, że potwór — Gradere umiera pojednany z Bogiem. „Ten wróg dusz, ten zbrodniarz wznosił się w pokoju ku niebu. Odchodził z radością, rozpięzając mu serce”. Podobnie — nienawidząca katolicyzmu Irena Blenauge („Ce qui était perdu”), Edward („Ciało i krew”), Ludwik („Kłębowska zmił”) — odchodzą dzięki Łasce wyzwoleni z więzów grzechu. Charakterystyczna jest dla Mauriaca ta koncepcja Łaski jako wyzwolenia i grzechu jako więzów, okowów własnego egoizmu. Doświadczeniu wewnętrznemu bohaterów doznających Łaski narzuca się to poczucie wyzwalania się z ogromną siłą. „Nareszcie wyzwoliłem się. Nie wiem co, ani kto mnie wyzwolił” — myśli adwokat Ludwik. „Będę się modlił za ciebie, dopóki nie zostaniesz wreszcie wyzwolony z samego siebie” — mówi jedna z postaci „L'enfant chargé de chaînes” o swym przyjacielu. Nie ma, jak powiedzieliśmy, tak wielkiego grzesznika, którego nie zdołałaby przetworzyć Łaska w świętego. Jest jednak podstawowy warunek otrzymania Łaski: pełna, niezfałszowana świadomość stanu własnej duszy, poczucie wstępu do siebie jako grzesznika, pragnienie bycia kimś innym. Największą przeszkodą na drodze do Łaski jest samozakłamanie, postawa człowieka, „któremu nieznany był wysiłek wyjścia poza własne ja w celu przyjęcia się temu, co widzi przeciwnik”. („Teresa Desqueyroux”). Najbardziej „czarne charaktery” Mauriaca mają jednak też przewagę nad swoim burżuazjskim środowiskiem, że obce jest im uczucie piaskowego zadowolenia z siebie, a w każdym razie — w jakims momencie życia staje się obce. Taki moment uczuciowego wejścia w siebie równoznaczny jest już niekiedy z otrzymaniem Łaski uczuciowej — pierwszym zadatkiem zbawienia. Hervé („Ce qui était perdu”) w chwili zupełnej już rozpacz z powodu świadomości stanu swej duszy postrząsnął się z bezradnością „w błocie”, słyszy spokojną odpowiedź matki, „że przecież on sam, Hervé, dostąpił między wielu innymi łaskami jednej bardzo wielkiej. — Ja? Tak jest, największej łaski: widziś samego siebie, znasz siebie; nazywasz błoto błotem. Wiesz, że błoto jest błotem. — Tak — rzekł cichym głosem, jakby pomimo woli — tak, wiem to”. Powyższa koncepcja jest niezmiernie charakterystyczna dla Mauriaca i wiąże się z jego znajomością ludzi z burżuazji, u których postawa pokory i uczuciowości w stosunku do samego siebie jest zjawiskiem nader rzadkim, zakawającym niemal na bohaterstwo. Niemniej jednak nie jest pozbowołym słusznym poglądem R. Garaudy'ego (op. cit.), sugerujący, że zbyt mało wymaga Mauriac od swoich grzeszników. Samoświadomość i uczynność „u kresu życia jakiś ledwie dotrącający gest, który ma mówić, że ludzie ci wyzreli się zła”, to istotnie za mało. Mauriac nie ukazuje przekuwania osobowości ludzkiej w znojnę, długiej walce z samym sobą.

IV

NIE jest łatwą sprawą dla pisarza-realisty pokazanie w dziele literackim zjawiska Łaski. Mauriac, jak wielu pisarzy katolickich, wybiera na najpewniejszą, najmniej błiską drogę: przedstawienie Łaski w kategoriach psychologicznych. Jest to zresztą całkowicie zgodny z nauką Kościoła, który mówi, że otrzymaniu Łaski towarzyszą najczęściej pewne symptomatyczne przeżycia duchowe. Bohaterowie Mauriaca doznają w pewnych momentach życia Łaski uczynkowej określanej dogmatycznie jako *illumination* et *inspiratio* — oświecenie i natchnienie Ducha Sw. Łaska tego rodzaju pojawia się albo przez bezpośrednie przeżycie psychiczne, jako wewnętrzne przeświadczenie, że tak a tak należy postąpić, że należy coś w swoim życiu zmienić, bądź też — „spływa” za pośrednictwem drugiego człowieka. Iwo Frontenac przeżywający wewnętrznie poczucie — głos mówiący o konieczności pójścia po linię wymagań Bożych — jest ilustracją tego pierwszego rodzaju.

Drugi — niezmiernie często pojawia się w powieściach Mauriaca. I rzec ciekawą — tymi pośrednikami Łaski są bardzo przeciętne postaci. Mała dziewczynka Maria modląca się o nawrócenie ojca jest takim znakiem ingerencji Bożej w „Kłębowski zmił”. Klauzusz — spełnia tę rolę w powieści „Ciało i krew” w stosunku do Edwarda i do May przez swe rozmowy z nimi, Łukasz („Kłębowski zmił”) czy Bernard („Pustynia miłości”) — poprzez samo swe istnienie. Ale Bóg nie ogranicza się do szukania sobie pośredników wśród „swoich”. Często u Mauriaca *illumination* et *inspiratio* przychodzi całkiem niespodziewanie poprzez ludzi nie lub niewiele mających z katolicyzmem wspólnego. Ma ono wtedy cechy przypadkowego zbiegu wydarzeń, autor jednak sugeruje, że „działała tutaj czyjaś niewidzialna wola”. Tak w „Thérèse Desqueyroux” w momencie, gdy bohaterka miała popełnić samobójstwo, niespodziewanie umiera jej ciotka Klara, stara niewiezająca liberałka; ktoś wchodzi do pokoju Teresy, aby oznajmić o tragicznym wypadku i udaremnieniu w ten sposób samobójczy zamach. „Teresa patrzy na tę starą, wierną postać, która rzuciła się jej pod nogi w chwili, gdy miała przekroczyć próg śmierci”. („Teresa Desqueyroux”). Zupełnie podobny motyw mamy w „La robe prétexte”, kiedy depesza o śmierci babki (również dość dalekiej od ideału świętości) odciąga Jakuba od „zaplanowanego” romansu z dziewczyną uliczną. Analogicznie — niespodziewany przyjazd brata Alaina („Ce qui était perdu”) udaremnia Tocię nawiązanie romansu z Willamem. Jeśli słusznie jest zdanie, że Mauriac „powtarza się” w swych powieściach, to w każdym razie wyżej wymieniony motyw niewątpliwie ma w sobie coś z tej powtarzalności doprowadzonej aż do schematyzmu. Na podkreślenie zasługuje tu „dwutorowość” tego rodzaju wydarzeń: zjawisko dające się wytłumaczyć czysto fizykalnymi prawami, otrzymuje również drugą „nadprzyrodzoną” motywację — jako celowa ingerencja Boga. Ta druga motywacja przeżywa jest przez doznających owej Łaski ludzi jako pewność, a w każdym razie prawdopodobieństwo. Nie widzimy u Mauriaca dążności do ukazywania ingerencji świata nadprzyrodzonego w sposób „misteryjny”, jako zjawiska sprzecznego z prawami natury i niezależnego od przeżyć psychicznych bohaterów. W ten sposób Mauriac katolik podaje rękę Mauriacowi realistę.

Udzielona człowiekowi Łaska uczynkowa oczywiście nie zawsze zostaje przez niego przyjęta i wykorzystana. Często bohaterowie Mauriaca dopiero u schyłku życia „godzą się zostać wybranymi”. Symptomem zewnętrznym przyjęcia przez człowieka Łaski jest zmiana stosunku do ludzi — budzenie się miłości. W znieświadczonym do niedawna środowisku grzesznik zaczyna dostrzegać ludzi — słabych może i utomionych, ale tym bardziej zasługujących na miłość. Adwokat Ludwik po raz pierwszy od wielu lat doznaje tego uczucia w stosunku do rodziny, Jean — Paul („L'enfant chargé de chaînes”) — do niekochanej poprzednio narzeczonej, Andrzej („Czarne anioły”) — w stosunku do nienawidzonej żony. Jednocześnie z budzeniem się prawdziwej pojętej miłości odpadają od grzesznika jego namiętności, które zabijały go duchowo. Ludwik — skąpiec oddaje dzieciom w jednym momencie majątek gromadzony przez cały czas chciwego żywota. Pozostawałoby jeszcze omówienie zagadnienia Łaski jako trwałego stanu duchowego, to jest Łaski uświęcającej.

V

ZARZUCANO Mauriacowi, że nie pokazuje życia swych bohaterów po nawróceniu. Istotnie — główni bohaterowie, których kreuje autor na „czarne charaktery”, po momencie przyjęcia Łaski znikają z horyzontu powieści — najczęściej kończą życie, co zwykle zbiega się z finałem akcji. Niemniej jednak są w powieściach Mauriaca bohaterowie pozytywni „od początku” niejako, antytezy tamtych czarnych charakterów. Nie wiadomo właściwie, skąd zrodziła się teza u niektórych krytyków Mauriaca o nieukazywaniu przez pisarza postaci świętych. Ks. Alain Forcas z „Czarnych aniołów”, Klauzusz z powieści „Ciało i krew”, Łukasz z „Kłębowska zmił” czy Bernard z „Pustynia miłości” — te wszystkie postaci, epizodyczne często w fabule, ale nieodzowne w konstrukcji ideologicznej powieści — wydają się zaprzeczać przeświadczeniu o braku świętych w powieściach Mauriaca. To prawda, że święci Mauriaca nie robią wrażenia energicznych ludzi czynu. Nie ma w nich nic z tego, co zwykle się określa mianem pełnego człowieka o harmonijnie rozwiniętych wszystkich władzach duszy i ciała, świętego, który byłby zarazem mistykiem i rztukim działaczem społecznym, ascetą i uosobieniem pokory, a zarazem wytwornym salonowcem. „Nic ci się nie udaje, nie potrafisz nic, tylko cierpieć... cierp więc!” — myśli o sobie młody ksiądz Alain Forcas, któremu istotnie „nie idzie” żadna działal-

ność społeczna w parafii, co więcej — staje się przedmiotem grubiańskich żartów środowiska. A przecież ten niedołężny życiowo ksiądz mocą swojej świętości wyciąga z wrót piekła zbrodniarza Gabriela, który umiera pojednany z Łaską.

I w innych powieściach występują jako epizodyczne postaci typy księży niezaradnych i mało energicznych, życiowo, o niesmielonych wielkością swej funkcji, które nie czują się godni, wyrażając z równowagą beznamiętnie otaczającego ich zła, z którym jednak ogrom ich własnej „nieorganizowanej” pokory nie pozwala radykalnie i bezwzględnie walczyć. Przebywający w środowisku tepych i chciwych chłopów, skazani na znajomość i przyjaźń z równie chciwymi i niewiele mniej tepymi właścicielami Landów, samotni w swej Bożej miłości i cierpieniu, ograniczają się do modlitwy za tych ludzi, do wyciągania od nich fundusów na ubogich, do rzadkich, niesmielonych, niemal błagalnych spojrzeń, gdy ktoś w ich otoczeniu mówi lub postępuje niezgodnie z moralnością chrześcijańską. Być może, że skazywanie takich ludzi na samotność i niedołęstwo jest u Mauriaca wynikiem tkwienia w zaczerpniętym kregu klasy mieszczańskiej, podświadomego może pesymizmu wyrażającego się w niedostrzeganiu siły społecznej, która by potrafiła zniszczyć tę duszącą atmosferę. Wynika też zapewne z jakiegoś ogólnego niedoceniania zorganizowanej działalności ludzkiej, z ogólnego przeswiadczenia o zdecydowanej wyższości kontemplacji nad działaniem. Święci Mauriaca dokonują swej pracy apostołskiej przez samo istnienie niejako, gdyż promieniują z nich na otoczenie Łaska. Takim jest młody Łukasz, pozornie marginesowa postać, który w ciągu całej akcji powieści nie przemówił ani słowa, a przecież wywiera wyraźny wpływ na osobowość adwokata Ludwika. Podobny urok wywiera dziewiętnastoletni Alain na swą siostrę Totę („Ce qui était perdu”), nieokrzesany wewnętrznym Klauzusz na Edwarda i May („Ciało i krew”). Ci żyjący wciąż w stanie Łaski, bardzo przeciętni pod wszystkimi ludzkimi względami, nie odznaczają się nawet w części tym darem samoświadomości, którą posiadają bohaterowie negatywni. Zazwyczaj nie jest im w ogóle taka zdolność potrzebna — to prawda, ale brak jej w połączeniu niekiedy z dość niskim poziomem umysłowym prowadzi może do fałszywych obiektywnych rezultatów. Tak np.: teściowa Ireny Blenauge („Ce qui était perdu”) — osoba niewątpliwie święta, charakterem swych praktyk religijnych zbyt formalistycznie pojmowanych, odstręcza od katolicyzmu synową. Zdaje sobie jednak sprawę z tego tragizmu: „samą obecnością moją oczerniam, ośmięszam, wyszydzą Tego, którego miłuję”.

Tak, święci Mauriaca nie potrafią na ogół zachować się w sposób budujący, bo brak im tych cech, które imponują przeciętnemu człowiekowi. Należałoby przy tym podkreślić rzucającą się w oczy pokorę pisarza, który jakby obawiał się wysuwania jakichś szczegółowych recept dotyczących stylu życia człowieka świętego. Niejednokrotnie autor daje do zrozumienia, że nie wiadomo, jaki jest w oczach Boga ten, który jest takim lub innym w oczach ludzkich: niedołężnym i śmieśnym, pedantem czy fanatykiem. Kryje się tu zapewne przeświadczenie Mauriaca o przywiązaniu przez ludzi świętości do miarek ich indywidualnych ludzkich natur. Jeden tylko warunek pozostał niezmienny dla wszystkich: życie w miłości i przez to w Łasce.

ZE natura i Łaska są dwoma wrogimi światłami, uczył mnie Pascal — wyznaje Mauriac.

Wspomnieliśmy na początku naszych rozważań o jansenistycznych skłonnościach pisarza. Ślady ich odnajdujemy we wszystkich niemal powieściach, ale również — natrafiamy tu i ówdzie na dążność do przewyżyczenia jansenizmu i stanięcia na katolickim stanowisku — „Gratia supponit naturam”. Te, różnym skutkiem wieńczące, osławione, wzmiana Mauriac swymi wypowiedziami teoretycznymi na ten temat, zamieszczonymi przede wszystkim w pracy „Souffrance et bonheur du chrétien”. Krzyż, który był dla Mauriaca poprzednio symbolem jedynie cierpienia i niósł z sobą twarde nakaz zerwania z wymaganiami natury, staje się później symbolem także radości i szczęścia: „Daremnie usiłujecie oskarżać krzyż, że życie przygasza. Kościół odpowiada wam w Wielki Piątek że izałm wprowadzie, lecz z tryumfującą radością. „Ecce enim propter lignum venit gaudium in universo mundo” (cytuje za J. Schwarzenbachem — „Der Dichter zwiespieltigen Lebens, François Mauriac”, 1938).

Anna Rowicka

głową i szumem w uszach, napotkawszy w którymś z wydawnictw portret Fredry, wpatrzyłem się w niego bezradnie jakby chcąc z tych czcigodnych rysów wyczytać ostateczne słowo tajemnicy”. („Obrachunki Fredruskie”, str. 12).

To odwet Fredry. Za to, że go nieraz nadmiernie upraszcano, wystawił kolce zagadek. Trudno wziąć „starucha”. Ale sam bierze nas bezapelacyjnie.

STANISŁAW Pigoń nad każdym budzącym jakąkolwiek wątpliwość tekstem Fredry benedyktyńsko medytuje, porównując go z rękopisem, pierwodrukami i intencjami poety okazanymi w ten czy inny sposób. Rekonstrukcyjnym medytacją badacza zawdzięcza książka niemało powabu.

Nie tylko cenzor i wydawca niejako z urzędu psuli tekst. Robił to także sam Fredro. Kiedy? Gdy pułdował w ulepsających przeróbkach dokonywanych przeważnie na rekolekcjach późnego wieku. Do młodego Fredry zabierał się stary Fredro. Nie zawsze to wychodziło na dobre. Drobny przykład, Fredro leciwy, poczuł niechęć do słowa „waćpan”. Dalejże je rugować! Czyta w „Słubach panienskich” wprost przepyszną filipkę Klary:

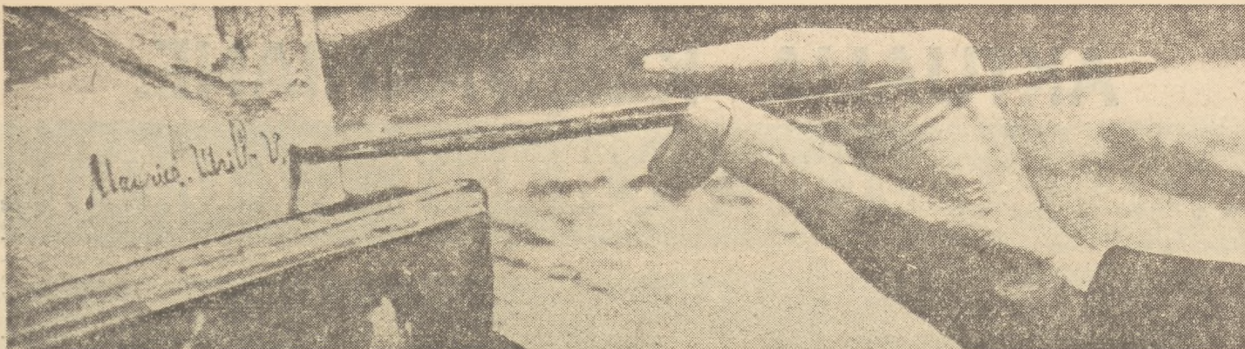
Zeby raz jeden wypadł kłębek z dłoni,
A waćpan za nim nie byłbyś
w pogoni,
Zeby raz chustka padła ze stolika,
A waćpan za nią nie leżał na ziemi.

Fredro się zżyma, krzywi jak po wypiciu octu: bez zwłoki stylowego „waćpana” zastępuje banalnym „panem”.

Zeby raz jeden wypadł kłębek z dłoni,
A pan za kłębkiem nie byłbyś
w pogoni,
Zeby raz chustka padła ze stolika,
A pan za chustką nie leżał na ziemi.

Takich poprawek, chociaż usankcjonowanych wola poety, wydawca nie uwzględnił. A jest ich pokazywać, gdyż Fredro, nie zdając sobie sprawy z wrastania swych komedii w styl epoki, modernizuje ich wysłowienie. Patynę zamienił tyńkiem. Pigoń zapowiada, że wszelką taką sztukaterię, będzie odpywał bez najmniejszego skrępowania. Czynnikiem bowiem ma smakować w naturalnej archaiczności języka Fredry, nie w sztucznych „doprawkach”. Wtworze archaicznego wieku poety: „Język Fredry, słusznie motywuje Pigoń, jak może żadne-

Kształt samotności



To jest prawdziwy portret Utrilla.

PIERWSZY przypomniał sobie o Utrillo Kaczyński i napisał o nim notatkę w jednym z zeszytów numerów „Nowej Kultury”. Z powodzeniem wykorzystał tragiczny życiorys malarza, od kilkudziesięciu lat walczony przez dziennikarzy, poszukujących taniej sensacji i wabiących publiczność mało budujących szczegółami z życia sławnych ludzi. Wykorzystał dla oszkalowania i ośmieszenia go w oczach tych, którzy w znacznej części nazwisko to słyszeli po raz pierwszy. Obok wątpliwych rewelacji o Verlainie podrabiającym własne listy, obok wzruszających zwierzeń, jakie kobiety poczyniły doktorowi Kinsley, dowiedzieliśmy się, że Utrillo po wielu latach morderczego piicia, bawi się kolejką dla dzieci i wyrzuca przez okna ołówki, nadsłuchując jak spadają. Dowiedzieliśmy się, że sława Utrilla, jako malarza, jest dziełem szczęśliwego przypadku (a jednak pijacy mają szczęście) i że życiorys jego jest prawie że typowy. Kaczyński wspomina wprawdzie gdzieś w tekście pełnym ciekawych informacji (ach, ci artyści!), że jest to malarz znakomity — ale malarstwo Utrilla nie bardzo go interesuje. Nie ma w nim ludzi — powiada — to musi być sztuka niehumanistyczna, a sam malarz jest zwyrodniałcem. Wprawdzie pejzaże jego „blade i melancholijne uliczki... znane są we świecie” — pisze Kaczyński — ale sam chyba nie bardzo się przejął, oglądając je w Paryżu (może uznał tylko malarstwo Davida).

Tak skwitowała prasa polska siedemdziesiąte Utrilla, przypadające w zeszłym roku. Rok następny przyniósł dalsze rewelacje z życia Utrilla, drukowane, a raczej przedrukowywane w „Przekroju”. Autor wspomina wprawdzie nieco więcej o malarstwie, ale fascynuje go do tego stopnia sensacyjna, plotkarska strona tematu, że jej daje bezapelacyjne pierwszeństwo.

Geniusz zawsze graniczy z szaleństwem cytuje Kaczyński Flauberta. Dzisiejszy dziennikarz czy krytyk literacki zawsze graniczy z plastycznym ignorantem — można odpowiedzieć Flaubertowi i Kaczyńskiemu. Po co wobec tego obaj zajmują się pisaniem o sprawach związanych z plastyką?

Co pozostałoby z Balzaka, gdyby odjęto całą jego twórczość: — średnio inteligentny, reakcyjny snob. Co pozostałoby z Musseta, gdyby wykreślono jego komedie i poematy: — inteligentny pijak. Co pozostało z Utrilla wskutek ignorowania najistotniejszej jego sprawy malarstwa: — wykołojony szaleniec. Utrillo jest malarzem. Jest przede wszystkim i tylko malarzem i jako wielki malarz — bez względu na to, co pisze się o nim w gazetach — przejdzie do historii. Współczesność umieszcza go często jedynie w historii ekscesów i pijaństwa.

Utrillo skarży się, że wylmiewano go jako człowieka i malarza przez wiele lat. Dziś jest też wylmiewano. Dziś też odjęto mu jego godność, jego patetyczną wielkość, jego sztukę. Milionerzy odczuwają perwersyjną przyjemność (połączoną z pewnością dobrej lokaty kapitału) kupując za miliony dolarów obrazy wielkiego pijaka. Dziennikarze odczuwają równą przyjemność (połączoną z pewnością zainteresowania najszerzszymi rzesz czytelników) pisząc o jego pijaństwie.

Okazuje się, że stosunek naszej publiczności do Utrilla nie różni się w ogóle od stosunku dziennikarzy zachodnich. Zrobiono z Utrilla przypadkowo utalentowanego — białą, pajacyką, który zabawnie potrafi malować. Czy doprawdy nie stać nas na ustosunkowanie bardziej ludzkie — bardziej godne tego wielkiego artysty?

Kaczyński pisze o przypadku, który zdecydował o karierze Utrilla. Jak łatwo byłoby w takim razie zostać wybitnym artystą. Dużo pić, znaleźć wpływowe krytyki, i już geniusz gotowy. Autor artykułu w „Przekroju” pisze już o pracy Utrilla, o jego zmaganiu się z nalogiem, o jego tragizmie.

Może to brzmie patetycznie — ale Utrillo jest jednym z tych wielkich męczenników sztuki, którzy bez reszty oddali się swojemu jednemu powołaniu. Utrillo, to postać patetyczna — patos jest więc usprawiedliwiony. Dwoistość Utrilla — charakter malarstwa, który absolutnie kontrastuje z nerwowym niszczącym trybem życia — to chyba jeden z najciekawszych problemów współczesnego malarstwa. W jaki sposób człowiek, znajdujący się niemal bezustannie na przemian w gorączkowym podnieceniu i odurzeniu, i w skrajnej depresji — potrafi malować pejzaże — często wprawdzie tragiczne — ale pełne dziwnego spokoju; klasycznie proste, zdyscyplinowane. W jaki sposób zachował świeżość patrzenia, na którą nie wpływały żadne fizjologiczne, czy psychiczne względy. Malarstwo — produkt życia zdyscy-

plinowanego jedynie nalogiem — jest prawdziwym życiem Utrilla. Tu jest sobą — wrażliwy, chorobliwie nieśmiały, spokojny, osamotniony, cierpiący człowiek. Tylko tu się może wypowiedzieć i wypowiada się bez reszty. Ciągła walka z sobą, ciągłe przypiwy zwątpienia, uparta orka — bez której nie istniałoby malarstwo Utrilla — jest właśnie tym najbardziej szlachetnym elementem, klasyfikującym go do rzędu największych artystów.

Pijaństwo, zajmujące tak znaczną część życia Utrilla zajmuje część najmniej ważną; prawie, że marginesową. Pijaństwo jest jego ucieczką najpierw od samotności — bo dziwnie przewrażliwiony chłopak nie miał odwagi zbliżyć się do swoich rówieśników; potem od ludzi — bo ludzie nagrywali się z kilkusetletniego smarkacza upijającego się winem. W pijaństwie, w atakach szału, w koszmarnych awanturach — wyladowywał z siebie cały gniołający go zapas urazów, zahamowań, żalów. To, co pozostawało, mogło skryzlować się w formę najpełniejszą i jedynie ukazującą Utrilla, w formę pejzaży szlachetnych, urzekających pięknem, nie wolnych od pewnej rezygnacji i nostalgii.

Przez całe życie Utrillo zachował ogromny szacunek i kult dla swojej matki — Suzanne Valadone. Miał zresztą za co być jej wdzięczny — tylko dzięki jej uporowi zaczął malować. Malował początkowo jej ulubioną paletą: dwie żółcie chromowe, vermilion, czerwień turecka i biel. Wszystko co wiedział o technice w pierwszych latach pracy — nauczył się od niej, później ideałem zostali impresjoniści — Sisy i Pissarro, zwłaszcza pejzaże Sisy staly się niemal obsesją Utrilla. Zaczął malować Montmartre, mając w pamięci ciche, pełne nastroju obrazy tego najtragiczniejszego i najskromniejszego spośród impresjonistów. Pierwsze pejzaże, prymitywne i surowe, nieudolnie usiłujące naśladować dwóch ulubionych mistrzów, ale pozbawione ich wiedzy i tricków ujawniły już wielkie poczucie koloru i kompozycji i tę charakterystyczną intensywność koncepcji, która zawsze zwiastuje wielki talent. Miał wielką potrzebę wypowiedzenia się, potrzebę podświadomą i dziwną, spotęgowaną całkowitą samotnością. Pracował prędko kończąc zwykle obraz w trakcie jednego, czasem gorączkowego wybuchu energii. O tym, że te wybuchy zjawiały się często, świadczy fakt, że już w ciągu pierwszego roku zbierał 150 pejzaży.

Malował Montmartre dzielnicę starą jak Paryż, o nazwie, której geneza sięga legendarnego mecenasza trzech misjonarzy. Jeden z nich św. Dionizy, podniósł swoją świątynię przez pogan głowę, zabrał ją z sobą i szukając kogoś, kto udzieli mu chrześcijańskiego pochowku, odnalazł jakąś staruszkę, która go pochowała. Malował Montmartre, gdzie się urodził, spędził dzieciństwo, gdzie doznał pierwszych upokorzeń, pierwszych chwil pijackiego zapomnienia, gdzie doznał pierwszych radości i pierwszych zwątpień malarstwa.

Biografia Utrilla może zawierać te trzy tylko słowa: malarz; malował Montmartre. Biografia Utrilla, to jego obrazy. Poszczególne motywy, poszczególne uliczki, to dzieńnik, stwierdzenie pobytu: dziś byłem tu i tu, gdzie będę jutro nie wiem, może policjanci każą mi malować w areszcie, może w domu będę malował z pocztówką.

materialności i pięknej faktury typowej dla jego wczesnego malarstwa. Nie znaczy to jednak, że pierwsze obrazy Utrilla są bezkoloryte. Kolor jest często nieśmiały, tchórzliwie zawężony, do często powracającej gamy — i w dużym stopniu właśnie te ograniczenia wpływają na to, że obrazy z okresu białego wydają się najbardziej tragiczne.

Większość wczesnych obrazów Utrilla powstała w wyniku bezpośredniej obserwacji paryskich uliczek. Utrillo — przejęty impresjonistami i malarstwem swojej matki, która zawsze malowała z modelem — malował sam w plenerze. Po kilku latach pracy — uwalniając się spod wpływu impresjonistów malował w nocy i bardziej odpowiadało mu światło sztuczne od naturalnego. Jednym z istotnych powodów, dla których zaczął pracować w domu korzystając z wielkiej kolekcji pocztówek, zdjęć i wycinoków z gazet, była po prostu chorobliwa nieśmiałość i zażenowanie. Był postacią znaną w całej dzielnicy i często gromady uliczników przeszkadzały mu w pracy uniemożliwiając wyjście ze ształugą na ulicę. Czy korzystanie ze zdjęć jest jakąś ujmą dla malarza? Obrazy Utrilla mówią same za siebie. Są świeżo, są prawdziwie i nie tracą nic przez to, że powstały w czterech ścianach pracowni zamiast na ulicy. Wiele obrazów Maneta, Degasa — nie mówiąc już o malarzach współczesnych powstało ze zdjęć i nikt nie kwestionuje ich artyzmu.

Tragizm w obrazach Utrilla zanika właściwie od czasu pierwszych sukcesów i oficjalnego uznania przez krytykę. Mimo, że Utrillo zachował na całe życie uraz, niewiarę w entuzjazm w stosunku do swojego malarstwa, rezerwę i ironię — przychylną, a często bałwochwalczą głosy krytyki osmieliły go bardzo w malarstwie. Kolory stają się żywsze, weselsze, odważniejsze; zanika wprawdzie faktura — chropowata, gesta powierzchnia obrazów — maluje teraz cienie, ma już pewną rutynę i zręczność, która nie zawsze daje dobre wyniki. Załamuje się nie raz i nie raz przechodzi malarski kryzys. Zawsze jednak wychodzi z tych tarapatów obronną ręką. Obecnie nie produkuje wprawdzie więcej niż dwanaście obrazów rocznie — ale wiele z nich jest równie dobrych, jak klasyczne obrazy z okresu białego.

Przez całe życie pracował dużo — żyjąc tak nienormalnym trybem pozostawił ponad 2000 prac.

Wielki malarz; malował Montmartre.

Jerzy Olkiewicz

ARTUR HOFFMAN

„MOST” czyli o technice i człowieku

UPRZEDZONEGO do „szaniawszczyzny” widza spotkała na pewno w Teatrze Powszechnym duża niespodzianka. Już od pierwszych dialogów „Mostu” zaskoczył go musiał zarówno rzetelny realizm, jak i współczesność, dzisiejszość sztuki Szaniawskiego. Z postacią młodego architekta ze społecznego awansu, z pierwszym pięciem sztuki dotyczącym przeciwieństwa pracy fizycznej i umysłowej, znajdujemy się od razu w samym sednie nowoczesnej problematyki. Każdy akt przynosi nowe zagadnienia, a wszystkie okazują się dziwnie nam bliskie; wszystkie stanowią jakby coraz nowe wariacje, osnute na tym, co zwykliśmy dziś nazywać postępowaniem czy walką nowego ze starym. Wydaje się, jakby znakomity pisarz już przed dwudziestu laty pokazał chciał, jak można napisać sztukę „współczesną”, sztukę o technicznym postępie, nie zdradzając ani sprawy postępu, ani człowieka, ani sztuki.

Z dojrzałą mądrością mówi artysta o cywilizacyjnych przemianach epoki. Na miejsce starego „przewozu” stanął na rzecze drewniany most. Po jego zerwaniu powstanie na pewno nowy, żelazny. Furkę z koniem zastąpi kolej i samochód — śmieje się do tego nawet głupek Janek. Technika i mechanizacja będą postępowały z każdym rokiem — pisarza cieszy to, lecz nie absolutyzuje go osiągnięć. W walce nowemu ze starym interesuje go przede wszystkim sprawa człowieka, wyrastająca z tej walki radości i dramatyczne konflikty, jej aspekty etyczne i humanistyczne.

Postęp cywilizacyjny może bowiem obrócić się przeciw człowiekowi — po Hiroszimie wiemy już o tym w sposób najbardziej dotkliwy. Może też odbywać się kosztem człowieka. Oczywiście, dzieła cywilizacji wymagają ofiar — jaka jest jednak dopuszczalna ich granica? Czy nie przekroczył jej młody architekt z „Mostu” godząc się narazić życie ojca dla przewiezienia na czas



Maurice Utrillo — Pejzaże z Montmartre.

na pocztę swego — choćby najwspanialszego — konkursowego projektu? Choć przeprawa przez rzekę się powiodła, cień przewoźnika na długo zaciemni dzieło twórcy jego syna. Szaniawski nadaje tej sprawie szerszy sens metafizyczny i wypowiada w niej swą wiarę humanisty, spadkobiercy chrześcijańskich tradycji. Konkurs rozpisyany był na gmach międzynarodowej Ligi Przyjaciół Człowieka: wyrzuty sumienia dążąc architekta tym bardziej, że wierzył on w treść tego domu i razliwy go zawsze „ironicznie uśmieśki wytworzył sceptyków, w chwili gdy posłyszają o miłości człowieka do człowieka”.

Konflikt etyczny architekta, potraktowany zresztą tylko szkicowo, spleta się z właściwym dramatem moralnym sztuki, dramatem ojca-przewoźnika, związanym w inny sposób ze sprawą technicznego postępu. Jest to tytułowa sprawa mostu.

Most przekreślił życie dawnego „pana na przewozie” i zajeżdźcie, zdegradował go w jego własnym poczuciu. Autor nie lekceważy urazu przewoźnika. Jak się okaże, doprowadził on mrocznego bohatera do występu skierowanego przeciw społeczności i postępowi: to przewoźnik pomógł krze do zerwania mostu. Lecz autor dał mu szansę rehabilitacji i wewnętrznej oczyszczenia — jego bohatera czyni, któremu tak słabo przeciwstawił się syn, służąc ostatecznie będzie postępowi i „Przyjaciółom Ludzkości”. I choć ten akt poświęcenia nie uchroni przewoźnika od skutków sprawiedliwości państwowej, wyrównuje przecież jego rachunek moralny, rozjaśnia jego posępne od lat życie, wiąże go na powrót z ludźmi.

Konflikt racji państwa i racji jednostki, odwieczny konflikt Kreona i Antygony, podsumowuje w zakończeniu trzeciego aktu myśl sztuki. Rację państwa, organizatora i obrońcy cywilizacji zbiorowej, uosabia agent policji. Rozsądnie mówi

o konieczności publicznego porządku, który sam reprezentuje, a który naruszył występem przewoźnika; lojalnie — o wielkiej aparaturze państwa, której chce być tylko trybikiem. Lecz Helena w imię racji jednostki odrzuca te porównania „efektowne, lubiane” w erze totalizmu: „ani świat nie jest machiną, ani człowiek — kółkiem, trybikiem”. W agencie bije zresztą naprawdę żywe ludzkie serce, nie jest on nieczułym wykonawcą władzy państwa. Wie o zbrodni przewoźnika, lecz widział później i jego bohaterki czyn. Musi go aresztować, ale czyni to nie tylko ze służbowej lojalności: gdyby nie wskazał sprawy, krzywdą spotkałaby innych, podejrzaných i zatrzymanych już „wywrotowców”. Agent jest „w porządku” i z regulaminem, i z głębszym poczuciem moralnym. „Tylko czemu mi smutno?” — pyta jednak, odchodząc, sam siebie.

W tym retorycznym pytaniu zawarta jest cała humanitas sztuki Szaniawskiego. Autor widzi towarzyszące radościom postępu surowość i tragizm życia, lecz ukazuje też tę „dobrą siłę” w człowieku, która umożliwia ich etyczne przewyżnienie, przetrwanie nad nimi mostu, odnalezienie więzi z ludźmi, zapanowanie nad losem. Jeśli zaś nie może się to udać całkowicie, jeśli cierpienie jest nieuniknione, pogodzi nas z nim przenikające sztukę Szaniawskiego współczucie.

Bogata w treść myślowa, realistyczna, współczesna sztuka Szaniawskiego jest mniej może od innych jednolita. Metafora „mostu” nie zespala całości jej spraw w sposób tak wyraźny jak inne tytułowe metafory jego sztuk. Sztuki Szaniawskiego nie są też nigdy samograjami. Wszystko to zwiększa odpowiedzialność teatru, ale też potęgę zainteresowanie wyrobione

widza: jak poradzi sobie reżyser, scenograf, aktorzy z tym nieprzejętym zjawiskiem, jakim zawsze jest na scenie sztuka wybitnego pisarza? Po uniesieniach lektury pragnęlibyśmy przeżyć je powtórnie nad wcieleniem scenicznym sztuki.

Nie przeżyjemy ich w Teatrze Powszechnym. Zawiniła nie tylko słaba czy błędna obsada: architekt o fatalnej dykcji, Helena, inteligentka Marysia. Uderzał u odtwórców zupełny brak „wnętrza”, przeżycia, wczucia się w otwarzane postacie. Nawet Teodor Gendera w roli nie-mądręgo Janka wykazywał się tylko błyskotliwą techniką. Nawet Mięczyński w roli przewoźnika nastrój, ale wydobywał go także środkami dość zewnętrzny i nie bez przeciągnięcia scen. Wojciech Brydziński miał już na tej samej scenie podciągnąć wywyż cały zespół i podnieść uciążową temperaturę spektaklu — było to przed kilku laty w „Niespokojnej starości”. W sztuce Szaniawskiego grał swą niemal solową rolę agenta w nieprzyjemnej pustce. Grał jak zawsze świetnie, żarliwie, ukazując człowieka, który przegrał życie, lecz pragnie przynajmniej uratować wewnętrzną godność. Brydziński przekonująco operował pauzami, odgrywającą tak poważną rolę w teatrze Szaniawskiego. Ale też prawie tylko on jeden. Może jeszcze Serwiński. U innych wychodziło to szampowo, zwłaszcza np. w scenie, w której z okien zajazdu patrzy na walkę przewoźnika z żywiołem.

Niedobre przedstawienie. Równocześnie zaś dowiadujemy się, że Teatr Polski zrezygnował z „Zeglarsza”. To przykre. Dramaturgia Szaniawskiego naprawdę zasłużyła na lepszy los na warszawskich scenach.

Artur Hoffman